Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT • NR 22 (1810) • 30 maja–5 czerwca 2025

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

WSZYSTKIE RĘCE NA POKŁAD

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125
9 770867 223508 22

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl fa494b6dd0

WOJNA DOMOWA

Maraton zapasów w błocie, przez niektórych nazywany kampanią wyborczą, szczęśliwie dobiega końca. W ostatnim tygodniu pół Polski zastanawiało się, czy kandydat konserwatywnej prawicy, startujący pod sztandarem tradycyjnych wartości rodzinnych, jest alfonsem i co ćpa. Drugie pół też pytało o ćpanie – i o to, dlaczego kandydat Polski otwartej nie chce poddać się testom na obecność narkotyków. Jak napisał swego czasu bard opozycji Jacek Kaczmarski: „Nie chciałbym być Polakiem, Polakiem być to wstyd". On to pisał ironicznie. My – niekoniecznie.

O alfonsieniu napisał Onet – m.in. piórem poważanego red. Stankiewicza. Twierdzi on, że Karol Nawrocki, dorabiając w studenckich czasach jako ochroniarz w Grandzie w Sopocie, organizował gościom hotelowym niewiasty, trudniące się zawodowo okazywaniem uczuć, i nie czynił tego z bezinteresownej empatii dla samotnych mężczyzn z daleka od rodziny. My w tygodniku „NIE" mamy absolutny szacunek dla profesjonalistek w każdej dziedzinie, natomiast nie przepadamy za alfonsami, albowiem każdy wyzysk jest nam wstrętny. Choć odnotowujemy też z pewnym zdziwieniem, jak parę dekad pracy środowisk postępowych nad zdjęciem odium z pracownic seksualnych poszło w pizdu i z jaką satysfakcją dziennikarze postępowych mediów powtarzają słowo „prostytutki" po tuzin razy w każdym zdaniu. A co się stało z szacunkiem dla sexworkerek?

Zarzuty są dość grubego kalibru; reakcja na nie – niekoniecznie. Karol Nawrocki postanowił skorzystać z drogi cywilnej, a także prywatnoskargowej, wzgardził za to trybem wyborczym, który umożliwiłby mu uzyskanie prawomocnego wyroku przed wyborami. Argument sztabu PiS był taki, że tryb wyborczy nie dotyczy sporów z mediami – atoli szybko został rozbrojony przez rozlicznych polityków PO, którzy głośno i publicznie zaczęli nazywać Nawrockiego sutenerem. Premier Tusk poszedł nawet w tej sprawie do Polsatu i odczytał długą listę zarzutów pod adresem domniemanych współpracowników Nawrockiego na odcinku sutenerstwa, w tym Wielkiego Bu, powołując się na autorytet Starego Murana. Nawet red. Stankiewicz wyraził pewną wątpliwość wobec tez premiera: „Pan Karol zaczął pracę w Grandzie w 2006 r. Pan Wielki Bu miał wtedy 16 lat. Trochę trudno mieć harem prostytutek w wieku lat 16". Oj tam, oj tam.

Zanim polski dyskurs polityczny zaczął żyć zagadnieniem płatnej miłości, swoje 48 godzin miał Sławomir Mentzen, który wezwał Nawrockiego i Trzaskowskiego do swojej kancelarii do Torunia i przesłuchał przed kamerami na benefis swojego kanału na YouTubie. Nawrocki łasił się jak szczeniak i w 90 minut odciął się od całej polityki PiS z ośmiu lat rządzenia, a także prospołecznych postulatów – takich jak podatek katastralny dla milionerów gromadzących mieszkania w charakterze lokaty kapitału – po czym z entuzjazmem podpisał wszystko, co Mentzen mu do podpisania podłożył. Trzaskowski nie podpisał nic, ale miły był też wysoce, a potem razem skoczyli na piwo do Mentzenowego pubu, gdzie znienacka znalazł się też Sikorski.

Efekt serialu z Mentzenem w roli głównej był dość łatwy do przewidzenia: kandydat Konfederacji zrobił sobie kolejny show, w którym starannie omówił oba spotkania, po czym poinformował wyborców, że „mają swoje rozumy i naprawdę nikt im nie musi mówić, na kogo mają głosować, bo doskonale wiedzą, do kogo im jest bliżej, i zagłosują tak, jak mówi im ich sumienie". W całym godzinnym monologu Menztena, podsumowującym oba spotkania, znalazła się jedna interesująca wiadomość: otóż entourage Trzaskowskiego zrobił straszny syf w pokoju, w którym czekał na swego wodza, i nie posprzątał po sobie, kiedy wychodził. To zaprzecza tezie, jakoby Rafał Trzaskowski był paniczykiem z dobrego domu, popieranym przez elity. Elity mają lepsze maniery.

Ubocznym – komicznym – efektem piwa z Mentzenem była ciotodrama, wykonana przez Adama Bielana w Polsacie: „Jeśli Sławomir Mentzen nie zastopuje wyboru Rafała Trzaskowskiego, będzie można go rozliczać z każdej z decyzji Trzaskowskiego, to bardzo duża odpowiedzialność i nie wiem, czy Mentzen chce ją wziąć na siebie" – załkał Bielan jak zdradzana narzeczona. „Adam Bielan próbuje mnie szantażować moralnie, twierdząc, że to ja będę odpowiedzialny za ewentualną wygraną Trzaskowskiego. Bzdura. Nie ja wam wybierałem kandydata, nie ja mu prowadziłem kampanię, nie ja zbudowałem mu wizerunek niezbyt lotnego osiłka, nie ja kręciłem i zmieniałem wersję w sprawie kawalerki" – odciął się Mentzen. „Sławomir Mentzen zdobył znakomity wynik, przeprowadził dwie bardzo ciekawe rozmowy, cieszy się olbrzymią popularnością, ja z całą pewnością nie miałem intencji szantażować kogokolwiek emocjonalnie, jeśli Sławomir Mentzen tak to odebrał, to przepraszam" – podwinął ogon Bielan. I to ma być ten najwybitniejszy spin doktor prawicy?

Ach, zapomnielibyśmy: w całym tym burdelowo-piwnym zamieszaniu prawie umknęły nam dwa niedzielne pochody, na które swoich wyznawców wezwali do stolicy dwaj kandydaci. Jeden nazywał się „Wielki Marsz Patriotów", drugi: „Marsz za Polską". Ponieważ Czytelnicy „NIE" są pilnymi obserwatorami życia politycznego, nie zadamy Wam zagadki: „Który z nich był pochodem nacjonalistycznej prawicy" – ale gdybyście nie wiedzieli, to jak byście obstawiali?

Z tematów niewyborczych (są takie, trudno uwierzyć): europoseł od Hołowni, Michał Kobosko, napisał na X: „Z moich rozmów z naszymi parlamentarzystami wynika, że nie ma wielkiego przekonania co do głosowania za nowym marszałkiem sejmu w połowie kadencji. Wiem, że podobne odczucia są w innych klubach". Słowem: Włodziu, pierdol się. Ponawiamy zatem nasz apel sprzed paru miesięcy: może lewica mogłaby coś wynegocjować w zamian za ten dość nieistotny fotel? Wynegocjować nie dla siebie – wszyscy faworyci Włodzia mają już stanowiska – tylko, dla odmiany, dla swoich wyborców? Na przykład umówić się z Trzecią Drogą, że w zamian za rezygnację z rotacji na fotelu marszałka Hołownia zagwarantuje jej przeprowadzenie przez sejm liberalizację ustawy antyaborcyjnej? Albo chociaż związków partnerskich? Jak myślicie?

AWŁ

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Maj 2013 r.

Świętego Konstantyna

Warszawa, niedziela, Międzynarodowe Targi Książki. Dużo bachorów, trochę wariatów. Na jednej z trybun pełno. Publiczność siedzi i ogląda na ekranie… reklamy książek. Jak ludzie przestają chodzić do kościoła, to szukają wiary w to, że jest co czytać. Przerażające. Przez godzinę podpisuję książkę „Jerzy Urban" napisaną przez Martę Stremecką. To mój wkład w siebie. Znaczna część kolejki stoi przede mną wstydliwie z moimi starymi książkami, fotografiami i notesami. Nie stać ich na „Jerzego Urbana". Poczułem się przez to jak pisarz: oni też mają więcej wielbicieli niż czytelników. Czytanie jest drogie, pisanie tanie, patrzenie za darmo. Ludzie z kolejki mówią, że mnie popierają politycznie: doktor-doradca seksualny red. Maliny Błańskiej, córka byłej kochanki dawno zmarłego kolegi, człowiek, który w białostockiej szkole siedział w ławce po przekątnej Małgorzaty Daniszewskiej, emerytowany oficer, który każe dedykować książkę majorowi Ludowego Wojska Polskiego. Obywatel ciekawy, czy przed wprowadzeniem stanu wojennego Jaruzelski pojechał po pomoc do Breżniewa. Dalej chłopak z Mławy, który kupił „Jerzego Urbana" po to, żeby mnie zapytać, czy przeze mnie można „zapoznać" młodą Jaruzelską. Pytam, czy może być Ola Kwaśniewska. Zastanowi się i wróci.

Już teraz wiem, po co zbudowano Stadion Narodowy.

Świętego Emila

Podobno furorę robi moja wypowiedź w Radiu Zet dla red. Moniki Olejnik, że przepraszam Donalda Tuska za to, iż przeze mnie robi z siebie idiotę. Podobno potem w programie Olejnik nadawanym o 8.00 wysocy współpracownicy Tuska dawali mi odpór.

Nie mam odbiornika radiowego ani komputera, ani telefonu z obrazkami (iPhone?). Moim medium, jak w połowie ubiegłego wieku, są tylko plotki, które roznoszą płotki.

Świętego Didera

Platformie opadło, więc PiS-owi stanęło i przeważa. To dobrze. Budzik na PO nie działał. Potrzebowała kopa. Kogo zaś kopniaki nie budzą, ten umrze we śnie. Sny przedśmiertne podobno są szczególnie piękne.

Świętego Donatana

„Wyborcza" martwi się, że PiS może wygrać wybory, więc w tym tygodniu dołącza noże do swoich wydań. Nie objaśnia czytelników, czy mają szykować się do nocy długich noży, czy do samoobrony albo samobójstwa. Noże „Gazety Wyborczej" są otwarte.

Jeszcze świętego Konstantyna

21 maja o 8.30 nad ranem przewodniczący SLD Leszek Miller powiedział: „Dla tych odrażających zbrodni nie ma usprawiedliwienia. Sprawcy i ci, którzy zacierali ślady, powinni ponieść konsekwencje. Polska Ludowa ma różne twarze – odbudowanego Zamku Królewskiego, Trasy Łazienkowskiej i Jerzego Urbana, który przyznał, że mataczył w sprawie Przemyka jako rzecznik rządu. Na marginesie: skoro Urban uczestniczył w tym procederze, jeżeli mówi, że kłamał, mataczył i wprowadzał w błąd, to powinna zająć się tym prokuratura".

Oświadczam, że nie chciałbym mieć brunatnej, ceglastej, nieforemnej twarzy Zamku Królewskiego w Warszawie ani popaść w taką już ruinę jak Trasa Łazienkowska.

W sprawie Przemyka publicznie mówiłem, że trwa śledztwo obejmujące też pogotowie ratunkowe, co było prawdą, a nie kłamstwem, choć nie całą prawdą, więc matactwem. Do gen. Jaruzelskiego pisałem i mówiłem, że należy zawiesić funkcjonariuszy MO podejrzanych o pobicie Przemyka, rozpylić sprawę (nie wiem, co miałem na myśli) i zmniejszyć zainteresowanie nią poprzez emisję rozmowy Wałęsy z bratem Stanisławem.

Działo się to w 1983 r. Leszek Miller był wówczas kierownikiem wydziału KC PZPR. W KC działał zespół sterujący mataczeniem. Miller m.in. kierował problematyką młodzieży. Grzegorz Przemyk to była młodzież. Co Miller czynił w sprawie Przemyka? Wiedział o niej tyle, co ja albo więcej.

Jeżeli poseł Miller przegłosuje ustawę karzącą za mataczenie w wypowiedziach publicznych i prokurator weźmie za dupę tych, którzy mataczą, więzienie nasze widzę ogromne. I bardzo się go boję, a to dlatego, że mógłbym trafić do jednej celi z Millerem.

Świętego Didera

Rząd postanowił, że tej wiosny nie będzie powodzi i przeznaczył szmal antypowodziowy dla „matek I kwartału". Przez kilka dób lało. Przeciw ciążom są tabletki, przeciw powodzi jeszcze ich nie wynaleziono.

Świętego Donatana

Nie dyskutuję z recenzjami. Tomasz Wołek, pisząc w weekendowej „Wyborczej" o książce „Jerzy Urban", popełnił jednak nieścisłość w sprawie o historycznym znaczeniu. Rząd i jego rzecznik postępowali trafnie oraz mówili prawdę po katastrofie w Czarnobylu. W żadnej chwili i w żadnym miejscu Polski skażenia nie były tak wysokie, aby zagrozić ludzkiemu zdrowiu. Mogłoby to się stać, gdyby skażenia trwały miesiącami lub latami. Po dziś dzień w Polsce nie stwierdzono żadnego przypadku choroby spowodowanej przez Czarnobyl. Po katastrofie Międzynarodowa Agencja Atomowa z siedzibą w Wiedniu uznała środki zapobiegawcze nakazywane przez rząd PRL za prawidłowe, a politykę informacyjną za rzetelną. Red. Wołek ma w pamięci kłamliwą propagandę grozy uprawianą przez Wolną Europę i wierzy w nią po dziś dzień. Korespondenci RWE dokonywali własnych pomiarów skażeń i przekazywali je do radiostacji. Ta interpretowała ich szkodliwość wedle przepisów dotyczących załóg elektrowni atomowych mówiących, że przy danym poziomie promieniotwórczości nie wolno pracować np. dłużej niż pięć lat, a mieszkać w pobliżu dłużej niż 20 lat.

O tym specjaliści mówią w TV i radiu w każdą okrągłą rocznicę Czarnobyla, ale już nie ma strachu, więc i zainteresowania tematem. ❑

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Radosław Sikorski** zadeklarował chęć wzięcia udziału w programach Radia Maryja. Na koniec mógłby pójść z Rydzykiem na wodę święconą.
- **Roman Giertych** zaproponował bezpłatną pomoc prawną Karolowi Nawrockiemu. W tym przypadku darowanemu koniowi warto zajrzeć w zęby.
- Przekomarzaniem się nazwał **Pałac Elizejski** sytuację między parą prezydencką w samolocie. Tak samo przekomarzał się Nawrocki z kibicami Lecha.
- **Jarosław Kaczyński** zarzucił Rafałowi Trzaskowskiemu, że ten nie chce poddać się testom na obecność narkotyków. Specjalistą od badania prochów na kadłubie jest w PiS-ie Macierewicz.
- **„Nasz Dziennik"** alarmuje, że rząd Tuska chce „wymazać" profesora Szyszkę. Bardziej na miejscu byłoby „wyciąć" albo „zrównać".
- **Policja** prowadzi akcję „Nie strasz dziecka policjantem". Być może za parę dni nie będzie też można straszyć sutenerem i złodziejem.

MARTA M.

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Szanowna Redakcjo!

Czy Pani Redaktorka Izabela Szolc naprawdę lepiej się poczuje, gdy nie głosując, da szansę na pięć lat (a może i więcej) siedzenia pod żyrandolem i siania zamętu w państwie facetowi spod ciemnej gwiazdy? Tylko w imię czystości ideologicznej?

No to gratuluję jej dobrego samopoczucia.

Zwłaszcza gdy prawica wygra najbliższe wybory i uchwali prawo zakazujące czasopism szkalujących rząd i Kościół, np. tygodnika „NIE", i urzędujący prezydent skwapliwie taką ustawę podpisze. Albo np. władza zacznie cenzurować internet i nie będzie można przenieść tam redakcji. I prezydent nie wystąpi do TK, bo, po pierwsze, nie będzie zreformowanego TK, a po drugie, po co, skoro sam będzie popierał tę cenzurę i też to podpisze. Wystarczy popatrzeć, co się stało z niezależną prasą na Węgrzech.

Chyba że Pani Redaktorka weźmie przykład z niejakiej Ogórek i radykalnie zmieni poglądy.

Ale czytelnicy „NIE" pozostaną z ręką w nocniku.

Może jednak Redakcja (krzywiąc się z obrzydzenia) poprze jednak mniejsze zło w postaci zachęty Czytelników, a nawet i samej Redaktorki, do udziału w wyborach i głosowania na Trzaskowskiego.

Stała od lat czytelniczka
ELŻBIETA HERTEL

Szanowna Redakcjo,

jestem Waszym stałym, wiernym czytelnikiem. Chciałbym podzielić się z Wami pewną informacją. Mój znajomy ma kuzyna – księdza. Otóż tenże ksiądz na mocy decyzji Obajtka ma na Orlenie 5 proc. rabatu przy tankowaniu. Załatwił on te karty rabatowe wszystkim dorosłym członkom rodziny. Pytanie: co robi aktualny zarząd Orlenu? Czemu rozdaje „moje" pieniądze pracownikom Pana B.? Przecież oni i tak z ambony prowadzą wściekłą prawicową agitację. Czegoś tu nie rozumiem.

Z wyrazami szacunku
JAN JAKUBOWSKI, WROCŁAW

Sz. Panie Redaktorze Sanowski

Dziękuję, że nie prezentuje Pan zaciekłej nienawiści do naszej sąsiadki Rosji, jaka jest prezentowana i wtłaczana polskiemu ludkowi przez dziennikarzy i polityków typu Sikorski. Dziękuję, bo większość (zdecydowana) dziennikarzy boi się o choć ułameczek pokazać, że nie tylko Rosja ma za uszami, ale to USA podkręca te nienawiści. Rosja i Ukraina dawno dogadałyby się, ale USA ma własny interes, żeby straszyć Rosją (i Chinami) i znaleźli posłuszny naród polski (do straszenia Rosją i siania nienawiści).

(…) Panie Redaktorze, dla mnie taka rusofobia to chęć wywołania wojny i powiedzenia „a nie mówiliśmy".Tłumaczę znajomym: wchodziliśmy do Unii, Rosja nie reagowała, wchodziliśmy do NATO, Rosja nie reagowała, to po co robić nastrój zagrożenia i straszyć Polaków – chyba po to, żeby byli grzeczni i posłuszni politykom.

Z poważaniem
GRAŻYNA WIĘCKOWSKA

eprasa.pl fa494b6db0

Krótki kurs przejebania wyborów

Trzask prask i po wszystkim?

Nie mam pojęcia, kto wygra wybory prezydenckie. Jednak – jako osoba z habilitacją z nauk o polityce – mam pojęcie, że zwolennicy Rafała Trzaskowskiego i on sam swoją bezmyślną żarliwością robią wszystko, co w ich mocy, aby przejebał wybory z kretesem. W gruncie rzeczy dla potomności warto spisać krótki kurs przegrania wyborów, aby w przyszłości uczyć na nim adeptów marketingu politycznego. Sprowadza się on do nieświętej trójcy – szantażu moralnego, obrażania potencjalnych wyborców i dezorientowania zwolenników.

Źle się dzieje w państwie duńskim

Kiedy okazało się, że ani znajomości z półświatkiem, ani skandal z przejęciem mieszkania staruszka nie zatopiły kampanii Nawrockiego, liberalne elyty zażądały od wszystkich, aby przed drugą turą jednoznacznie poparli Trzaskowskiego. Kto tak uczynił – jak Biejat czy Hołownia – został pogłaskany po główce. Duńczyk, czyli wiking Adrian Zandberg, nagle stał się wrogiem publicznym, bo odmówił poparcia kandydata Tuska.

Nie pomogły wyjaśnienia Duńczyka, że wyborcy to nie puchar przechodni. Ani jasna deklaracja: „Nie »przekażę głosów poparcia« wyborców Razem żadnemu kandydatowi. Milion tych wyborców to są ludzie, którzy mają swoją podmiotowość, swoje przekonania, swoje prawo do decyzji. To oni będą podejmować decyzję, czy pójść i jak zagłosować przy urnie. Ja będę natomiast jasno i zdecydowanie mówił o naszych wartościach”.

Oczywiście wedle sondaży znaczna większość wyborców wikinga w drugiej turze poprze Trzaskowskiego, ale nawet co piąty z nich zagłosuje za Nawrockim. Tym bardziej ciśnie się Zandberga, by oficjalnie poparł Trzaska, choć wiara w magiczną moc sprawczą takiej deklaracji jest dziwaczna. Najlepsze, że Duńczyk chciał rozmawiać o konkretnych problemach – służbie zdrowia, losie niepełnosprawnych – a kandydat platformerski nie miał mu nic do zaproponowania.

Nastroje liberałów, którzy coraz bardziej skądinąd skręcają w prawo, najlepiej chyba oddała dr Anna Strzałkowska z Uniwersytetu Gdańskiego, mówiąc: „Adrian Zandberg składa nas w ofierze. Tak może zrobić tylko ktoś, kto jest w pozycji władzy, uprzywilejowania i realnie nie zaznał strachu przed prześladowaniem”. I podkreślała znaczenie wyboru na prezydenta kraju Trzaska dla tęczowych rodzin, widząc w wyborze Nawrockiego zagrożenie dla bezpieczeństwa osób ze społeczności LGBT+. Co takiego zrobiła uśmiechnięta koalicja dla tej grupy, tego już nie powiedziała, choć mogłaby to skwitować jednym słowem: nic, a co najwyżej – niewiele.

Mania obrażania

Najdziwniejsze jest, że mimo wielu miesięcy kampanii, ja wciąż nie mam pojęcia, dlaczego miałabym zagłosować na Trzaska. Jedyne, co usłyszałam od niego samego, osób z jego sztabu i medialnych przydupasów, to że nie jest z PiS-u. Że nie brał udziału w kibolskich ustawkach. Że nie załatwiał ludziom panienek na telefon. Że nie wyłudził mieszkania od biednego staruszka. Że nie ma kolegów kryminalistów. Ale za czym opowiada się prezydent stolicy?

Żebyśmy byli wszyscy razem. Żadnych podziałów. Równie dobrze Trzask mógłby reklamować jakąś niby dobroczynną fundację, której trzeba wysłać SMS-a za 5 zł plus VAT, aby poczuć się lepiej.

Najgorsze, że mimo absolutnego braku programu, cokolwiek kandydat PO zrobi, sprzyjające mu media zachwycają się tym, jak czterolatek nadmuchanym balonikiem. Stawiam bitcoiny przeciwko orzechom, że gdyby prezydent Warszawy w trakcie debaty puścił głośnego bąka, to „Wyborcza” i TVN zachwyciłyby się tym, jak mu wspaniale funkcjonują jelita, co jest objawem zdrowia, że o byciu luzakiem nie wspomnę.

Każdy, kto wyrazi choć cień wątpliwości – choćby co do jakości kampanii Trzaska – jest rozjeżdżany walcem krytyki. Parafrazując Gombrowicza: dlaczego kochamy Trzaska? Bo wielkim politykiem jest.

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Wyczytałam i usłyszałam, że ma on słuch społeczny, jest Europejczykiem, doskonałym gospodarzem stolicy – choć Nawrocki mu w debacie dowiódł, że potężne miasto buduje rocznie zaledwie 60 mieszkań komunalnych, o czym włodarz Warszawy nie miał pojęcia. Ale wszystko to niknie w oczach w obliczu tego, że nie jest z PiS-u. Jest nasz. Swojski, dobry pan, którego trzeba poprzeć, bo kraj się rozleci, uśmiechnięta koalicja nie zmieni Polski, pewnie też po ulicach będą hasać białe niedźwiedzie.

Niezawodny Marcin Matczak, z właściwą sobie przenikliwością godną Sherlocka Holmesa, napisał w „Wyborczej”: „Istnieje od jakiegoś czasu zjawisko zemsty na systemie czy politycznego trollingu. Nie chodzi o to, żeby wygrał najlepszy kandydat. Chodzi o to, żeby się działo. Żeby elity się zagotowały. Żeby zagrać establishmentowi na nosie”. Matczak nieszczególnie zastanawia się, czemu elity podkurwiają zwykłych ludzi, wolących od paniczyka wydziaranego typa, który wciąga snusy.

Akcja dezorientacja

Tu pojawia się kolejna zasada: dezorientuj swoich zwolenników, bądź dla wszystkich, czyli dla nikogo. Tymczasem pasta dobra do zębów niekoniecznie jest pastą dobrą do wybielania odbytu.

A skoro już mowa o odbycie, trudno zapomnieć o jego wydzielinie, która – jak wiadomo – ma kolor brunatny. W tym samym dniu, gdy Trzaskowski pochwalił się poparciem Biejat, stwierdził, że w wielu kwestiach zgadza się z Mentzenem. No i poszedł do niego na spytki. A co ważniejsze, razem z Radosławem Sikorskim po rozmowie zajrzał do knajpy kandydata Konfederacji i chętnie w trójkę panowie piwkowali. Sikorski podpisał film słowami: „Za Polskę, która łączy, nie dzieli”, filuternie dodając o współpracy z Konfą: „Nie takie koalicje bywały”.

Albo rybki, albo akwarium. Mimo wszystko chcę wierzyć, że istnieje jakaś różnica między lewicą a prawicą w Polsce. Że ci, co chcą małżeństw jednopłciowych i legalnej, bezpiecznej i darmowej aborcji, czymś się różnią od tych, co by – jak Mentzen – kazali rodzić nieletnim dzieci z gwałtu. A Rafałek „Bążurek” łączy wszystko i wszystkich – dżem z musztardą, śliwki z majonezem. I nazywa to polską, wspólną wszystkim rodzimą kuchnią.

A tak naprawdę jedyne, co może osiągnąć, to to, że wiele osób się porzyga. Mój kumpel, stary punkowiec i lewak, stwierdził, że w tych okolicznościach przyrody nie tylko nie poprze kandydata mafii deweloperskiej (Trzaska), lecz zastanawia się, czy nie poprzeć na złość drugiej strony (czego, mam nadzieję, ostatecznie nie uczyni).

Swego czasu o wielkich drągalach, którzy w ringu byli nieruchawi, mówiono, że walczą taktyką: drzewa umierają, stojąc. Wydaje mi się jednak, że bardziej adekwatnie Trzaskowski przypomina postać Borysa Butkiejewa z niezapomnianej „Pieśni sentymentalnego boksera” Włodzimierza Wysockiego (u nas znanej z brawurowego wykonania Mariana Opani).

Ten „Krasnodaru dzielny syn” posyłał przeciwnika na deski, myśląc, że człowiek brzmi dumnie i życie jest piękne, a na trybunach rósł wrzask: „Pruj flaki mu, to tchórz”. Jednak z czasem tak zmęczył się biciem, że sam padł na deski: „Na ringu plackiem leżał on / Butkiejew król KO”.

Jak wiadomo, nie ma przypadków, są tylko znaki. Nie chciałabym, aby po podliczeniu głosów na ringu leżał Trzaskowski, wszak KO to nie tylko skrót od angielskiego knock-out (nokaut), ale i Koalicji Obywatelskiej!

KAT

Mniejsze zło

Zatkam nos i zagłosuję na Bążura. Już tłumaczę.

Pozwólcie, że najpierw wytłumaczę konieczność zatkania nosa. Chodzi oczywiście o to, żeby nie poczuć woni rządu Donalda Tuska. Ten gabinet ma dwa biegi: straszenie wojną i gonienie PiS-u. Jedynym podmiotem jego troski są „przedsiębiorcy” – nie słyszałam, żeby z ust premiera i jego kolaborantów choćby raz padło słowo „pracownicy” – a do tego szczyci się szczuciem na „obcych”… Mogę tak jeszcze długo, ale nie będę, o rządzie piszemy co tydzień i raczej rzadko pochlebnie, nie będę się powtarzać.

Ale mam też poważny problem z postacią samego Rafała Trzaskowskiego.

W odróżnieniu od większości wielbicieli Rafała przeczytałam książkę pt. „Rafał” (no dobra, przeczytałam uszami). Frustruje mnie szczery, niekłamany zachwyt, z jakim Rafał mówi sam o sobie. Niezmiennie dobrze i bardzo obszernie; żadna informacja nie wydaje mu się zbyt błaha, żeby umieścić ją w autobiograficznej książce kandydata na urząd Prezydenta RP. Co gorsza, wszystkie opinie Rafała Trzaskowskiego na temat świata są śmiertelnie banalne, oczywiste i niezaskakujące. Przez 12 godzin nie usłyszałam ani jednego zdania, które sprawiłoby, żebym sobie powiedziała: „Cholera, na to nie wpadłam”.

Do tego dochodzi, widoczny tak w książce, jak i w kampanii, radykalny (choć zapewne oportunistyczny) skręt w prawo. Ostatni przykład: dlaczego, na miłość boga nieistniejącego, marsz poparcia dla Trzaskowskiego musiał nazywać się „Wielkim marszem patriotów”? Nie mógł nazywać się marszem demokratów? Albo obywateli? Platformerska propaganda może stanąć na czubku fiuta, ale nie ma siły, żeby hasło „Wielki marsz patriotów” nie pachniało „Triumfem woli”.

Kampania Trzaskowskiego jest zbudowana na koncepcie: „będziemy się łasić do prawaków, bo lewacy i tak nie mają wyjścia”. Otóż mają: mogą zostać w domu. To wariant, który bardzo poważnie rozważałam.

I jest jeden powód, dla którego go odrzuciłam.

Jest to otóż – paradoksalnie – marność tego rządu.

Wynik pierwszej tury wyborów – 40 proc. za kandydatami koalicji, 60 proc. za opozycją – powinien był skłonić rząd do głębokiego przemyślenia swojej polityki, radykalnej korekty, ze zmianą premiera na czele. Jest już oczywiste, że nic takiego się nie stanie. To sprawia, że prawdopodobieństwo, iż w 2027 r. PiS wróci do władzy, graniczy z z pewnością.

Od 35 lat głosuję na kohabitację, bo uważam, że polska polityka nie jest na tyle dojrzała, żeby można było spokojnie powierzyć 100 proc. władzy jednej formacji. W 2010 r. w drugiej turze głosowałam na Kaczyńskiego, przeciw Komorowskiemu – z tego właśnie powodu.

Dziś wybór, który przede mną stoi brzmi: kohabitacja teraz czy później? Dwa lata z prezydentem, który może zahamować Tuska – czy trzy lata z takim, który zahamuje Kaczyńskiego z Mentzenem? Nie jest to wybór łatwy.

Ale zgadzam się z tymi, którzy twierdzą, że Duda przy Nawrockim będzie się jawił jako błękitnookie niemowlę z nowiusieńką grzechotką. Rząd PiS po wyborach 2027 nie będzie to ten socjalny PiS sprzed dekady, który ewidentne łamanie praworządności jakoś tam równoważył dość rewolucyjną polityką społeczną: wzrost płacy minimalnej, wprowadzenie minimalnej płacy godzinowej, 500+, które zabrało z rynku pracy zdesperowane matki, gotowe pracować za każde pieniądze, byleby nakarmić dzieci, 13. i 14. emerytura, oznaczająca de facto waloryzację kwotową… To wszystko już przeszłość: dziś PiS łasi się do tzw. przedsiębiorców z entuzjazmem nie mniejszym niż obecny rząd, a Karol Nawrocki pokornie zgodził się ze wszystkimi postulatami gospodarczymi Konfederacji, dodając, że Sławomir Mentzen jest jego autorytetem w kwestiach ekonomicznych. Co daje nam pewien przedsmak tego, jak będzie wyglądał wspólny rząd pisiarzy i konfiarzy: z PiS zostaną nam totalitarne zapędy, a Konfederacja dołoży darwinizm społeczny. I nie będzie miękkiej gry, bo doświadczenia platformerskiego rozliczactwa wzbudzą żądzę zemsty.

Rafał Trzaskowski jest, w mojej opinii, mniejszym złem.

I tak, wiem, że – jak powiadał w swej niezrównanej mądrości generał Jaruzelski – „zło, nawet mniejsze, jest również złem”. Ale sondaż UCE Research dla Onetu, zrobiony po I turze, wykazał, że 74,3 proc. Polaków woli zagłosować na mniejsze zło zamiast zrezygnować z głosowania. W kupie raźniej.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

MÓŻDŻEK TYGODNIA

W pisowskiej piaskownicy przyjęło się uważać, że jak genialnym strategiem politycznym jest Jarosław Kaczyński, tak genialnym spin doktorem jest Adam Bielan, obecnie eurodeputowany. Ale nawet geniusz odpoczywa czasem od rozumu…

Poniedziałek rano. Bielan w Polsat News komentuje najsłynniejsze w minionym tygodniu spotkanie przy piwie: „Jeśli Sławomir Mentzen nie zastopuje wyboru Rafała Trzaskowskiego, to będzie go można rozliczać z każdej decyzji Trzaskowskiego”.

Niedługo potem na platformie X odszczekuje się szturchnięty Mentzen: „Adam Bielan próbuje mnie szantażować moralnie (…). Nie ja wam wybierałem kandydata, nie ja mu prowadziłem kampanię, nie ja zbudowałem mu wizerunek niezbyt lotnego osiłka, nie ja kręciłem i zmieniałem wersję w sprawie kawalerki”.

Po południu Bielan urządza konferencję prasową i się kaja: „Ja z całą pewnością nie miałem intencji szantażować kogokolwiek emocjonalnie. Jeżeli Sławomir Mentzen tak to odebrał, to przepraszam go za to”.

Jeżeli Nawrocki zostanie prezydentem, to nikt Bielanowi tego pokrętnego zachowania nie zapamięta, a Kaczyński utrzyma wizerunek superstratega.

Oby nie.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

eprasa.pl fa494b6db0

ETYKA BEZBOŻNA

Gruszki na wierzbie i sztuczne rzęsy

Ile szczerości można wymagać od polityków?

Polityk mówiący o gruszkach na wierzbie może mówić o świecie idealnym – i jeśli daje jasno do zrozumienia, że jest to opowieść o jego wartościach, to nikogo nie okłamuje. Po prostu sobie marzy.

Wybory to czas, gdy wiele się obiecuje. Nawet na wyrost, nawet w złej wierze, bo albo samemu się nie wierzy w to, co się mówi, albo się wie, że dotrzymanie obietnicy nie będzie możliwe. No ale przecież „wszyscy tak robią", „cel uświęca środki", a w ogóle to trzeba ratować ojczyznę, wobec czego małe kłamstewka stają się dopuszczalne. Wszak „nie czas żałować róż", czyli „miękkich wartości", gdy „płonie las", polski las.

A teraz weźmy zwykłego człowieka. Szuka taki żony albo choćby kochanki, więc się stroi, brzuch wciąga, coś tam goli, zasłania, perfumuje. A kobieta to jeszcze bardziej. Nawet usta i biust może mieć nieprawdziwe, nie mówiąc już o rzęsach. Toż to oszukaństwo, czyż nie? Gorsze niż u tego polityka!

Oszukaństwo, ale zwykle przecież nie aż takie, żeby się nie domyślić. To raczej strojenie się w piórka, jak ten ptaszek w czas godów. Nie robimy z tego kwestii moralnej. Czy słusznie? Może zaczyna się od kłamania w sprawie własnego wyglądu, a kończy się na wielkiej politycznej ściemie?

Bywa i tak, ale sprawa wcale nie jest taka prosta. Jest bowiem coś takiego jak rytuał i jest coś takiego jak prawo człowieka do zachwalania swojej osoby oraz konkurowania z innymi. I bynajmniej nie jest jasne, jakie reguły rządzą autoreklamą, a w konsekwencji niełatwo jest ustalić, w którym miejscu przekracza się granice oszustwa. Widzimy to na co dzień w marketingu. Wiemy, że reklama przesadnie zachwala produkt. Ale jak ma go właściwie zachwalać? Tak na pół gwizdka? Jak już coś robić, to dobrze i konkretnie. Byle nie popaść w śmieszność albo ostentacyjne łgarstwo. Ale koloryzowanie i upiększanie rzeczywistości jest chyba okej.

Człowiekowi wolno się ładnie ubrać, żeby się podobać. Politykowi też. I chyba wolno mu też opowiedzieć, czego by sobie życzył, i nazwać to swoim programem. „Jeśli mi pozwolicie", to dam wam to i tamto, i jeszcze gwiazdkę z nieba. Jednakże między opowiadaniem o swoich marzeniach czy ideałach a obietnicami jest znaczna różnica. Tak samo jak pomiędzy ładnym ubieraniem się a całkowitym ukrywaniem swojego naturalnego wyglądu za maską iluzji i zmyłek. I nie jest to tylko kwestia trzymania się w ryzach i unikania przesady.

Chodzi o intencje.

Marzy sobie o świecie, w którym wszystko jest za pół darmo albo o świecie bez takich czy owakich. Albo że z nieba zejdzie Pan Jezus i zaprowadzi królestwo. Wszyscy wiedzą, że nie zejdzie, więc nikt nie czuje się oszukany.

Tak samo z zadbanym facetem. Po rozbiórce brzucho wyjdzie, ale że uszy bez kudłów i paznokcie obcięte to przecież trzeba docenić. Robi co może, pryska się wodą nie najtańszą, ale nie udaje adonisa. Ważne, że nie pije, nie pali i nie śmierdzi. Czego chcieć więcej?

Warto na polityków patrzeć w ten sam sposób. Nie kradnie, nie jest ostatnim debilem ani świrem, to niechaj sobie rządzi, jak tak bardzo chce. Lepszy taki, niż jakiś złodziej i chamidło. Mało wymagasz, to się nie rozczarujesz. Tej zdroworozsądkowej postawy nie należy mylić z cynizmem. Ani z realizmem. To raczej pewien rodzaj mądrej czułości i wyrozumiałości.

Takie ludowe spojrzenie na moralność publiczną ma w sobie jakaś szlachetną głębię. Świat nie jest doskonały, ale też nie musi być. Możemy go sobie trochę upiększać – szminką, bajerem czy gajerem – ale tak, żeby nie stracić kontaktu z rzeczywistością i nie okłamywać ani siebie, ani innych. Po prostu, bez przesady i bez udawania kogoś, kim naprawdę się nie jest.

Bo prawda w życiu społecznym wcale nie musi być naga, tak jak nagi nie musi być człowiek. Wiarygodność to nie brutalna dosłowność, ale szczerość intencji i szczerość w swych ludzkich słabościach. Prawdziwy człowiek chciałby być trochę mądrzejszy, trochę piękniejszy i trochę bogatszy, niż jest. Więc odrobinę udaje. A to udawanie jest bardziej prawdziwe niż nieudawanie niczego. Dlatego właśnie wiele sobie wzajemnie wybaczamy. Nikt nie jest wszak doskonały, a skoro tak, to i ja nie muszę być doskonały. Co za ulga!

A tak przy okazji, to pozwólcie, że się pochwalę: w wydawnictwie PWN właśnie ukazała się moja nowa książka „Etyka życia publicznego". Nie chcecie, to nie czytajcie! (Ale będzie mi bardzo miło, jeśli jednak przeczytacie).

JAN HARTMAN

A gdyby tak prezydent nie musiał słuchać prezesa?

Teatrzyk kukiełkowy

Skoro na scenie politycznej dominują dwa ugrupowania, to uczciwa wobec wyborców byłaby prezydencka rywalizacja dwóch liderów. Jednak zarówno Donald Tusk, jak i Jarosław Kaczyński wolą wystawiać protegowane kukiełki.

Zgadzam się z Piotrem Ikonowiczem, że dla wielu wyborców głosowanie w drugiej turze wyborów prezydenckich pozbawione jest sensu. Wyborca, któremu żaden z kandydatów nie odpowiada, może co prawda nie oddać głosu na tego, który – jego zdaniem – stanowi tzw. większe zło. Rzecz jednak w tym, że tym samym udziela poparcia dla mniejszego zła.

Spotkałem się z opinią, że należy głosować na Karola Nawrockiego po to, by nie dopuścić do monopolizacji władzy przez PO. Na to pada odpowiedź, że sytuacja, gdy rząd i prezydent wywodzą się z tej samej formacji politycznej, znacznie ułatwia rządzenie poprzez unikanie kontrowersji pomiędzy dwoma ośrodkami władzy.

Takie są jednak skutki, gdy spory międzypartyjne przekładają się na wybory prezydenckie. Było to widoczne podczas telewizyjnej debaty obydwu kandydatów. Polegała ona głównie na wzajemnych przepychankach o to, kto bardziej zaszkodził Polsce: PiS czy PO. Wyraźnie było widać, że obydwaj pretendenci mówią skryptem swojej formacji. A to oznacza, że obojętnie który z nich wygra wybory, będzie – tak jak Andrzej Duda – zakładnikiem wspierającej go partii. A mówiąc dokładniej, będzie kukiełką, którą będzie pociągać za sznurki albo Donald Tusk, partyjny przełożony Trzaskowskiego, albo Jarosław Kaczyński, który nie po to namaścił Nawrockiego, aby nie móc nim sterować.

Dzisiejszą Polskę niekiedy porównuje się do cyrku. Jest to porównanie trafne, jeśli chodzi o klaunów, choć prestidigitatorskie sztuczki są u nas na znacznie niższym poziomie – choć też opierają się na oszustwach. Nie obrażajmy zatem cyrku, do naszego kraju bardziej bowiem pasowałoby porównanie do teatrzyku kukiełkowego. Jak wiadomo, jest on skierowany do bardzo młodych, nieumiejących jeszcze samodzielnie myśleć dzieci.

I tak też traktowani są dorośli obywatele, w szczególności przy okazji wyborów.

W Polsce ukształtował się polityczny duopol na modłę amerykańską.

Tusk już raz przegrał wybory prezydenckie i od tej pory nie ma ochoty na ewentualną powtórkę, która w tym przypadku mocno osłabiłaby jego pozycję jako premiera. Z kolei Kaczyński dość konsekwentnie woli sterować z zaplecza. Co gorsza – w sytuacji ewentualnego zwycięstwa nie-

Jak zagłosuje języczek u wagi?

Elektorat z przekreślonym krzyżykiem

Na początek reminiscencje. W 2006 r. komisarz stolicy i pisowiec Kazimierz Marcinkiewicz w pierwszej turze wyborów na prezydenta Warszawy pokonał Hannę Gronkiewicz-Waltz. Kilka miesięcy wcześniej Platforma Obywatelska wygumkowała, po serii nieprzychylnych dla niego tekstów w ówczesnym „Dzienniku", Pawła Piskorskiego, byłego włodarza miasta.

Za czystki w dzielnicowych kołach PO wzięli się wtedy zaufani HGW, m.in. pompując te struktury nowym członkami, po to tylko, żeby przejąć zarządy kół i wykopać stamtąd ludzi Piskorskiego. Tak było chociażby na Ursynowie.

„Wykopani" i tracący wpływy oraz stanowiska raz-dwa znaleźli sobie innych panów. Jednym z nich okazał się Paweł Wypych, w latach 2005–2006 sekretarz stanu w Ministerstwie Pracy i Polityki Społecznej, potem w kancelarii prezydenta Lecha Kaczyńskiego, jedna z ofiar katastrofy smoleńskiej. „Piskorczycy" dostali zadanie ciułania głosów dla Marcinkiewicza, do czego zabrali się z entuzjazmem z – po ludzku zrozumiałej – chęci zemsty na Gronkiewicz-Waltz.

– Umówili dyskretnie Kazimierza przed drugą turą na spotkanie z prawosławnym metropolitą Sawą, zwierzchnikiem drugiego co do wielkości Kościoła w Polsce – wspomina osoba, która była blisko tamtych wydarzeń. – Żeby było śmiesznej, sztabowcy HGW szybko dowiedzieli się o tym fakcie i pomysł skopiowali. W rezultacie prawosławni dwukrotnie musieli się wykosztować na dobre wino i obiadek.

Te kilkadziesiąt tysięcy głosów prawosławnych, jakie ciągle są do zdobycia na Mazowszu, wtedy byłemu mężowi Izabeli jednak nie pomogły. 26 listopada 2006 r. Hania bowiem pokonała Kazika.

Taniec wokół biskupów

Czy wypadałoby PiS-owi powtórzyć te kontredanse wokół coraz bardziej wiekowego metropolity Sawy – zwierzchnika 600-tysięcznej mniejszości wyznaniowej – i w tej kampanii prezydenckiej, kiedy walka toczyła się o każdy głos? Odpowiedź jest oczywista. Na Podlasiu, które masowo popiera Karola, zamieszkuje 200-tysięczny elektorat z przekreślonym krzyżykiem, z czego w samej stolicy województwa – aż 50-tysięczny.

Pozyskanie prawosławnych byłoby oczywiście trudne, mimo że od kilku ostatnich wyborów zaczęli oni mocno zezować na prawo – co w pierwszej turze tych prezydenckich zapasów, w zdominowanym przez niekatolików powiecie hajnowskim, skończyło się trzecim wynikiem dla Sławka; zaraz po Rafale i Karolu.

Ale przecież nie niemożliwe. Wystarczyło – wzorem przywołanym z warszawskiej przeszłości – spotkać się publicznie z kilkoma biskupami, pojawić się na największym majowym festiwalu muzyki cerkiewnej w Hajnówce, odwołać się do „wspólnych chrześcijańskich wartości" i takie tam. W końcu w poprzedniej kadencji sejmiku województwa podlaskiego Prawo i Sprawiedliwość miało w swoim klubie cerkiewnego działacza, a w ostatnich wyborach do sejmu wystawiło na swojej liście prawosławną katechetkę.

Jednak kalkulacja Szafernakera i jego białostockich kolegów za sztabu mogła być zgoła inna: „Kacapów odpuszczamy w tej kampanii, bo to strata czasu. I tak na Karola masowo nie zagłosują". Teraz opowiemy wam, dlaczego i tak mogłoby być.

Cień IPN

Na rok przed tym, jak Karol Nawrocki został dyrektorem Muzeum II Wojny Światowej, świeżo upieczony pracownik białostockiego IPN i radny miejski PiS z Hajnówki, Bogusław Szczepan Łabędzki, organizuje I Marsz Pamięci Żołnierzy Wyklętych. Marsz odbył się w stolicy powiatu hajnowskiego, gdzie trzy czwarte mieszkańców to prawosławni. Do organizacji eventu ów katecheta i misjonarz katolicki z wykształcenia zaprasza ONR z Białegostoku.

Marsz idzie pod hasłami w stylu: „A na drzewach zamiast liści...", „Bóg, Honor i Ojczyzna" czy „Śmierć wrogom ojczyzny". Ale to jeszcze nic.

Uczestnicy marszu za swojego nieformalnego patrona biorą Romualda Rajsa ps. „Bury": bandytę, który zaraz po II wojnie wymordował na Białostoczyźnie kilkadziesiąt osób, w tym kobiety i dzieci, bo nosiły na szyi przekreślony krzyżyk i nie potrafiły przeżegnać się po katolicku.

Co ciekawe, białostocki IPN przygotował w 2005 r. szczegółowy i drastyczny raport w tej sprawie, ale Łabędzki go ignoruje i na ulicy spokojnego dotychczas miasteczka pisze swoją historię.

W kolejnych latach Łabędzki – już jako pełnokrwisty pracownik IPN – usunął się trochę w cień, mimo to dalej wspierał logistycznie kolejne edycje nacjonalistycznej imprezy. Np. pomagał

PLURALIS MAIESTATIS

Dulszczyzna nasza powszednia

Wnioski z Walusia

Tak sobie myślałam, że zadzwonię do redakcji tygodnika „NIE" i powiem: Siostry i bracia, zostawcie biały prostokąt na kawałku strony. Wydrukujcie na górze napis „pluralis maiestatis", a na dole – Izabela Szolc. I oto będzie mój felieton. Skoro malarz Kazik Malewicz mógł mieć swój „Czarny kwadrat na białym tle", to czemuż, ach to czemuż Szolc nie może mieć swojego białego prostokąta?

Zmieniłam jednak zdanie, co może sprawić, że tygodnik „NIE" nigdy nie znajdzie się w sali ekspozycyjnej Państwowej Galerii Trietiakowskiej w Moskwie. Z drugiej strony, znając temperamenty naszych redakcyjnych grafików – to ostatecznie tego nie przesądzam. Za to ostatecznie mówię – poziom żenady kampanii wyborczej sięgnął dna. Wcześniej czy później wszyscy wpadniemy przez to w depresję.

Dowiedziałam się w mijającym tygodniu, że snus jest zły. A nawet nielegalny, o czym poinformowała na X ministra zdrowia Izabela Leszczyna. Co wszakże nie oznacza, że nie można

eprasa.pl fa494b6db0

uchronnie wdałby się w nieustanną wojnę z Platformą, co wprawdzie może odpowiadać jego psychice, jednak na dłuższą metę może być męczące i co gorsza nieskuteczne, a tego Pan Prezes nie lubi. Dlatego obydwaj przywódcy, zamiast stanąć do twardej walki wyborczej, ograniczają się do uczestnictwa w organizowanych pod jednakowymi patriotycznymi hasłami marszach swoich kandydatów, po to by wyrazić dla nich swoje oparcie – choć i tak wszyscy wiedzą, że ich popierają. Marsze tego typu, jak niedzielne w Warszawie, to czyste pokazówki – kandydaci gromadzą swoich zwolenników, którzy i tak na nich zagłosują.

Narzucony, a jednak w większości aprobowany, duopol powoduje, że wyborcy bardziej niż rozsądkiem kierują się politycznymi sympatiami. Mało kto dostrzega, że w wyborach prezydenckich niekoniecznie trzeba oddać głos na przedstawiciela partii, na którą głosowało się w wyborach parlamentarnych. Tymczasem dla Polski – a tym samym dla wyborców – byłoby lepiej, gdyby głową państwa był ktoś niezależny od jakiejkolwiek siły politycznej, mający własne, a nie partyjne, zdanie. Takim prezydentem mogłaby być Joanna Senyszyn – jednak nie będzie. Patrząc z dużym optymizmem w przyszłość, można oczekiwać, że w końcu pojawi się mający szanse na zwycięstwo kandydat spoza obecnego układu politycznego.

BOLESŁAW K. JASZCZUK

kibolowi Dawidowi P. zarejestrować marsz w miejscowym magistracie. Dawid P., obecnie trzydziestoparolatek, był już w przeszłości dwukrotnie karany za propagowanie faszyzmu; po raz pierwszy zresztą za darcie ryja przed komendą i grożenie policjantom, że „przyjdzie po nich Hitlerjugend".

Miał jednak mniej szczęścia niż pisowski kandydat na prezydenta RP, bo niedawno – póki co nieprawomocnie – został skazany przez Sąd Okręgowy w Białymstoku za udział w ustawkach, w ramach wielowątkowego śledztwa dotyczącego zorganizowanej grupy przestępczej wśród kiboli Jagiellonii Białystok.

Ten pierwszy hajnowski marsz nacków z 2016 r. – z inicjatywy podwładnego Nawrockiego z białostockiego oddziału IPN – początkowo objął patronatem świeżo upieczony wówczas prezydent Andrzej Duda. Prawosławni działacze oraz dziennikarze zrobili jednak szum i Duda się wycofał. Nie mamy wątpliwości, że Nawrocki na jego miejscu nie okazałby się miękką fają.

JMP

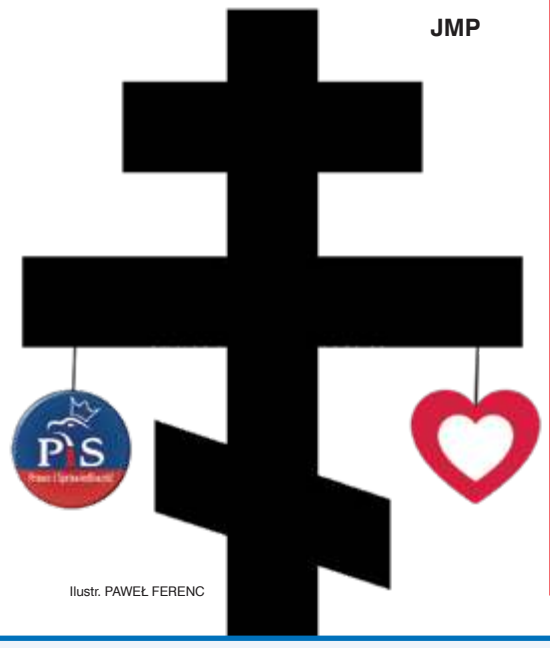

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Bonżur bonżur

Głosuj, kto w boga nie wierzy!

Już za parę dni zakończy się prezydencka kampania wyborcza. Najdłuższa, jaką pamiętam. I też najgłupsza. Kiedy myślę o następnej, łudzę się, że przynajmniej będzie krótsza. Nie obstawiam, że będzie mądrzejsza.

Jeszcze dwa lata temu zaproponowałbym, aby przed rozpoczęciem takiej kampanii wyborczej każdemu z uczestniczących w niej dziennikarzy rozdać teksty Konstytucji RP. Ze szczególnym zaznaczeniem rozdziału V poświęconego Prezydentowi Rzeczpospolitej Polskiej. A także innych artykułów związanych z tym urzędem. Przydałyby się też komentarze do tych artykułów, bo nie wszyscy potrafią czytać akty prawne ze zrozumieniem.

Po tej kampanii dostrzegam, że mam przestarzałe, niemodne dziś, postrzeganie mediów. Oczekiwania, że fachowość, racjonalność będą tam ponad pragnieniem wzbudzania jedynie emocji. Bo te najłatwiej się teraz w mediach sprzedają.

W efekcie tej kończącej się kampanii już wiem, który z kandydatów na prezydenta sprawniej wniesie mi lodówkę, nawet do lokalu bez windy, który więcej pompek publicznie wyciśnie, no i który więcej Polski ma w sercu i w genach.

Który będzie potem walczył, bił się nawet, aby Polska była Polską. Rosła w polskość po polsku, bo Polska jest najważniejsza, a Polacy są wspaniałym narodem i zasługują na polską Polskę.

Cienie prezydenta

A ja chciałbym wiedzieć, jeszcze przed głosowaniem, kto pracować będzie dla nowego prezydenta. Chciałbym poznać szefa jego kancelarii. Kandydatury przyszłych prezydenckich ministrów. Chciałbym wiedzieć, kto będzie szefem prezydenckiego Biura Bezpieczeństwa Narodowego.

Cóż z tego, że konkurujący kandydaci codziennie odmieniali słowo „bezpieczeństwo" przez wszystkie możliwe przypadki. Prawie tak często jak słowa „Polska" i „Polacy". Ale konkrety nie padały.

Chciałbym też wiedzieć, kogo przyszły prezydent pragnie zaprosić do grona swych doradców. Tych etatowych, tych na zlecenia i tych społecznych. Pokaż mi swych współpracowników, swych doradców, a wtedy będę lepiej wiedział, kim i jaki naprawdę jesteś.

Przyszły prezydent nie musi znać się na wszystkim. Musi za to nie bać się ludzi mądrych, specjalistów, zwłaszcza tych lepszych od siebie. Musi stworzyć kompetentny zespół ekspertów i potrafić ich słuchać. A potem podejmować decyzje samodzielnie. Na własną odpowiedzialność.

Takie cechy ma były prezydent Aleksander Kwaśniewski. Pewnie dlatego powszechnie uznawany jest za najlepszego z dotychczasowych.

Zauważcie, że niechęć do prezentowania swych przyszłych współpracowników jest powszechna w polskiej klasie politycznej. Kilka już razy kilku partyjnych liderów obiecywało stworzenie „gabinetu cieni". Merytorycznych trzonów ich przyszłego rządu.

Ale kiedy obiecywany rząd powstawał, to następowała zmiana ról. Kandydata typowanego wcześniej na ministra kultury kierowano do obrony narodowej. Szykowaną do resortu oświaty delegowano do sportu, a sprawy zagraniczne dostawał przygotowujący się do ochrony zdrowia. Resortu zdrowia zwykle nie życzyli sobie posiadacze silnego zaplecza politycznego. W efekcie zsyłano tam politycznie słabych, gwarantujących utrzymanie dotychczasowego bałaganu.

W Polsce niechętnie powstają takie „gabinety cieni", bo władzę zyskują u nas zwykle koalicje parlamentarne i ostateczny skład rządu to efekt politycznych targów. Ale wybierany w powszechnych wyborach prezydent nie musi mieć nieoczekiwanego koalicjanta. I swój „gabinet cieni" powinien wcześniej pokazywać. Zwłaszcza przed drugą turą wyborczą.

Pierwszy Obywatel, czyli kto?

Wszystkim otumanionym tegoroczną kampanią wyborczą warto przypomnieć, czym zajmować się będzie przyszły Pierwszy Lokator Dużego Pałacu.

Na pewno musi reprezentować państwo polskie za granicą. Dlatego powinien znać języki obce. Nawet kiedy polską Polskę ma w genach i sercu. Powinien opanować dyplomatyczny protokół. Znać zasady dobrego wychowania w państwach, które odwiedza. I dostosowywać się do nich, nawet jeśli obce są polskiej polskości. Polski prezydent nie jest prezydentem USA, który może pozwolić sobie na kulturowy dyktat. Ostentacyjną ignorancję.

Zdarza się też, że prezydent współtworzy politykę zagraniczną. Ale efektywny jest jedynie, kiedy potrafi współpracować z aktualnym rządem i jego ministrem spraw zagranicznych. Bo prezydent podczas zagranicznych wojaży dostaje od MSZ-u „sugestie", czyli to, co ma tam mówić. Czasem zajmuje się problematyką, w którą rząd nie chciałby się publicznie angażować. Na przykład relacjami z Chinami, co bardzo korzystnie dla państwa polskiego realizował prezydent Andrzej Duda.

Podobnie jest w sferze obrony narodowej. Prezydent RP jest tytularnym zwierzchnikiem polskich sił zbrojnych. Mianuje najwyższych dowódców wojska polskiego, nadaje stopnie wojskowe. Znów i tu zwykle efektywny jest, kiedy współpracuje z ministrem obrony narodowej. Ponieważ ma swoją konstytucyjną Radę Bezpieczeństwa Narodowego, to jego pozycja silniejsza jest niż wobec ministra spraw zagranicznych.

Ostatnimi czasy prezydent RP bywa zwierzchnikiem polityki historycznej i godnościowej. Nieformalnie, bo tego w Konstytucji RP nie ma. Ale prezydent może patronować na przykład organizacjom krzewiącym kult żołnierzy wyklętych albo zrzeszeniom patriotycznych polskich faszystów.

Może wspierać ich działalność z budżetu swej kancelarii. Może nadać im ordery i odznaczenia. Albo przyznać tytuły profesorskie.

Jeśli zajdzie potrzeba, to może pozyskać dla Polski zagranicznych fachowców, sportowców, a nawet faszystów. Nadając im polskie obywatelstwo. Może też przeróżnych patriotów, a nawet faszystów, wolą swą ułaskawić. Może wtedy czekać na skazanie ich prawomocnym wyrokiem sądowym. Albo, korzystając z precedensu prezydenta Dudy, ułaskawić ich jeszcze przed prawomocnym wyrokiem sądowym.

Zresztą o taki wyrok sądowy może być trudno, bo prezydent może rozwalić system sądownictwa albo zablokować jego naprawę. To też czynił prezydent Andrzej Duda. Zatem nowy prezydent nie musi wiele główkować. Ma już po poprzedniku gotowce.

Poza tym każdy prezydent ma też inicjatywę ustawodawczą. Ale zwykle rzadko z niej korzysta. Ma również prawo weta do parlamentarnych ustaw. Silną broń do paraliżowania działalności parlamentu i rządu. Do odrzucenia prezydenckiego weta trzeba 276 głosów, a do uchwalenia ustawy jedynie 231 głosów.

Kto?

Wybór prezydenta nie jest wyborem ustroju gospodarczego Polski. Nie jest wyborem między kapitalizmem, socjalizmem, kooperatywną anarchią. Zatem dylematy zgłaszane przez moich lewicowych przyjaciół – czy zamiast wybierać jednego z dwóch gospodarczych libków lepiej już pozostać w domu i nie głosować – są nietrafione.

W niedzielę 1 czerwca nie wybieramy ustroju gospodarczego Polski. Mamy wybór między liberalnym demokratą a narodowo-katolickim bokserem. Między politycznym żulem a politycznym bonżurem.

Jeśli zostaniecie w domach, to otworzycie drzwi dla tego prezydenta walczącego. Nie tylko z bonżurami. Także z „neomarksizmem", „ideologią woke" i wszelkim lewactwem. Wybierzecie wtedy człowieka czynu. Boksera, nie narciarza oportunistę, jak ustępujący Duda. Wtedy nie zdziwcie się, że znajdą się w Polsce patrioci, którzy zechcą antynarodowym lewakom zwyczajnie wpierdolić. Tak po polsku, po kibolsku, narodowo.

Może się zdarzyć, że trafią na was, i choć oni też libków nie lubią, to lewactwo zawsze ma z bani.

Dostaniecie, bo oni móc będą. W razie czego prezydent ich ułaskawi. Może nawet odznaczy ich za ten patriotyzm.

Dlatego w niedzielę 1 czerwca zagłosuję na Rafała Trzaskowskiego.

I wszystkich Was do tego tu namawiam.

PIOTR GADZINOWSKI

go kupić bez zbędnego wysiłku. I ja na przykład zamierzam, bo czego jak czego, kogo jak kogo, ale snusa nie miałam jeszcze w dziobie. Mam nadzieję, że pikawa mi te wszystkie używki wytrzyma. Od kwartału raczę się tabaką – zostałam po koleżeńsku zdemoralizowana na zjeździe Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Jakże ja lubię koleżeńskie demoralizacje!

A pisząc właśnie dla Państwa te słów kilka, palę sobie ukraińskie papierosy z przemytu – cienkie i mentolowe. „Queen Menthol" – zakupione w okolicach rodzimej bałuckiej komendy i na rynku. W sumie to nie wiem, czy powinnam być tak przeciwna wojnie w Ukrainie? Jak mi te szlugi znikną, to co zrobię? No, przecież nie zgrzeznieję, prawda? Papierosy petuję do popielniczki z ornamentem w liście maryśki. To prezent od mamy. Gdyby moja mama była jeszcze lepszą mamą, niż jest, to by wiedziała, że tak jak nie umiem pływać, to i trawy palić nie potrafię. Za to zapewne potrafię ugotować zupę z pokrzyw.

Minister Spraw Zagranicznych Polski Rafał Sikorski (proszę, do rymu mi wyszło) w niedzielę poinformował, że piwo, które walnął ze Sławomirem Mentzenem, było bezalkoholowe. Źle!

Gdybyście, Panowie, powiedzieli, że walnęliście setę księżycówki, byłoby to dla Was lepsze. Jako że Wy, lisy wyleniałe, kołnierzowe owym toruńskim działaniem nabiliście głosy Braunowi.

A Braun – ten sam, co to gloryfikuje zamachowca Janusza Walusia – jest po prostu niebezpieczny.

Sam Waluś może nie, bo swoje w RPA odsiedział – jest po tym wciąż trochę niedysponowany. Przypominam, że Waluś, członek Afrykańskiego Ruchu Oporu, w 1993 r. odjebał Chrisa Haniego – lidera Południowoafrykańskiej Partii Komunistycznej. Ale – jak sam stwierdził Waluś – nie chciał Haniemu strzelać w plecy, więc nim do niego wygarnął jak do kurka na dachu, to zawołał go: „Mister Hani!". Może dlatego w 2021 r. niejaka Marzena D., członkini Narodowego Odrodzenia Polski, na wiecu przed ambasadą RPA powiedziała: „Janusz Waluś nie dokonał aktu politycznego terroru. Była to polityczna święta egzekucja!". Postępowanie wobec szerokogębnej Małgorzaty D. zostało umorzone. Można i tak. Za to nie można, Premierze Tusk, na wiecu nawet szeptem wymawiać słów „wojna domowa". A Pan to zrobił na warszawskim marszu Trzaskowskiego.

Tytułem kronikarskiego obowiązku: sam Waluś, obecnie obywatel RP i na wolności, twierdzi, iż dopuścił się rzeczy koniecznej. Zakurwiło to tak RPA, że tamtejsi politycy domagają się zwrotnej ekstradycji Walusia. W zeszłym tygodniu polski resort sprawiedliwości stwierdził: „Waluś jako obywatel Polski nie może zostać wydany do RPA". I prawda. Ja tam sobie zaś myślę, że Walusia capnięto i zamknięto (ominęła go kara śmierci). Przez wiele lat ograniczając mu wolność i co tam jeszcze po prostu dysponowano jego ciałem. Resocjalizacja zawiodła? A kiedykolwiek nie zawodzi? Waluś myśli sobie, co myśli, jego sprawa. Jak chcieliście, żeby było inaczej, to trzeba było mu lobotomię zrobić. Problemem jest ewentualne pikanie się Walusia z Braunem.

A skoro jesteśmy przy więzieniach i byłych oraz obecnych pensjonariuszach owych przybytków… Dajcie sobie proszę siana z szafowaniem hasłami: kryminał, półświatek, bandyci. Przypominam, że w więzieniach się głosuje! I to, że ktoś umoczył, nie znaczy, że będzie moczył dalej. A jak będzie, to jest to sprawa sądu i przepisów o recydywie. Człowiek, który garuje, w większości obszarów prawa nie różni się niczym od człowieka, który wyciera dywany na salonach. Kiedy wyjdzie po odsiadce czy z aresztu – tym bardziej. I również wtedy, kiedy nie ma prawomocnego wyroku. Polskie prawo ma zapis, że sąd wszystkie wątpliwości rozpatruje na korzyść oskarżonego. Więc walcie się, Wy wszyscy świętojebliwi! Po prostu walcie się! Bo już od tej dulszczyzny można puścić większego pawia niż od przejarania się ukraińskimi szlugami.

IZABELA SZOLC

eprasa.pl fa494b6db0

Od krzywych bananów do prostych krętaczy

Europę kochać trzeba i szanować…

Urodziłem się w kraju, w którym świat zaczynał się za szlabanem w Świecku, a kończył na przydziale z MHD („papier toaletowy był rano"). W kraju, gdzie wyjazd za granicę był luksusem zarezerwowanym dla zaufanych, a paszport spoczywał na komendzie, w szufladzie, między kajdankami a formularzem SB. W kraju, gdzie dzieci notabli nosiły jeansy z RFN, a dzieci nauczycieli chodziły w ortalionie z Łodzi.

Urodziłem się w kraju, który karmił się frazesami o pokoju i przyjaźni między narodami z jednej strony, z innej szykował inwazję na Danię. Ale kredyty brał w Deutsche Banku i marzył o Pontiacu z plakatu. W kraju, gdzie na akademiach recytowano Breżniewa przy dźwiękach Lennona, a w partyjnych Pewexach dolary miały większą wartość niż ideały. W kraju, który ponoć był suwerenny, ale pytał Moskwę o zgodę na każdy krok, chociaż nawet jak jej nie uzyskiwał, to i tak Gierek robił po swojemu.

Nie miałem innej ojczyzny, więc musiałem kochać to państwo, które było. Choć, prawdę mówiąc, nie chciałbym już do tamtej miłości wracać. Bo co tu dużo mówić – Bogusław Linda, który uruchamiał dwucylindrowego Fiata 126p o zawrotnej pojemności 650 cm³ kijem od szczotki*, nie kojarzył mi się ani z Jamesem Bondem, ani z dumą narodową. Osobiście wolę tego Lindę w porszaku i garniturze – nawet jeśli ten garnitur, niestety, jest od Hugo Bossa.

Polska offline i bez aktualizacji

Te skojarzenia narzuciły mi się po właśnie zakończonej kampanii wyborczej, w której karta antyeuropejskości została rozegrana z pełnym rozmachem. Znakomicie – i niestety wyraźnie – widać, że Unia przegrała tę narracyjną batalię. A to może oznaczać, że historia zatacza koło.

Polska znów może stać się czymś, czym już kiedyś była: państwem zamkniętym, upartym, samowystarczalnym głównie w propagandzie. Zamiast Mercedesów – polonezopodobne Izery, składane z chińskiej blachy po puszkach po piwie. A w Zitau, na granicy z Zachodem, stanie zardzewiały szlaban z napisem: „Rzeczpospolita Samowystarczalna". Obok tablica: „ZAKAZ WWOZU OBYCZAJÓW ZACHODNICH". Za nią milicjant z paszportem, który nie jest twój, ale jego – i państwa.

Wbrew oczekiwaniom nie będę oskarżał o ten stan Jarosława Kaczyńskiego i jego kohorty – bo to zrobią inni, bardziej kompetentni w tropieniu narodowego szaleństwa. Zajmę się bardziej tymi, którzy dopuścili się zaniedbania równie poważnego, choć mniej spektakularnego.

Mam tu na myśli Katarzynę Smyk, dyrektorkę przedstawicielstwa Komisji Europejskiej w Polsce, oraz Piotra Wolskiego, kierownika Wydziału Prasowego. Oboje stanowią tzw. headquarters brukselskiej obecności w Polsce – czyli sztab ludzi, którzy mają za zadanie sprawić, by Unia Europejska miała twarz. Niestety, twarz Unii kojarzy się co najwyżej z twarzą pana Wolskiego oraz tablicą przy szkole w gminie Michałowice, na której napisano, nie wprost, że Niemiec zapłacił za dach, a my możemy się cieszyć suwerennością, bo zrobiliśmy przetarg.

Prawda jest bowiem taka. Minęło już 20 lat obecności Polski w Unii Europejskiej. Dzięki tej obecności Polska wygląda dziś lepiej niż kiedykolwiek wcześniej. Niestety, świadomość tej „urody" i jej źródeł nie jest powszechna. Moglibyśmy to wywnioskować z zaledwie trzech artykułów, które ukazały się w mediach głównego nurtu w ostatnich pięciu latach: „20 lat później. Polska w Unii: sukces mimo siebie" („Polityka", 2024); „Bruksela w twojej gminie" („Newsweek", 2022), trzeciego nie pamiętam.

Beneficjent numer jeden

Każdy z nich mówił o doniosłej roli, jaką odgrywa Unia – nie tyle w „naszym" świecie, co w nas samych. A ściślej mówiąc: o obecności Unii w Polsce, którą łatwo przeoczyć, bo stała się tak oczywista, że aż niewidzialna.

Dostaliśmy autostrady, po których można jechać szybciej niż furmanką, mosty, które nie kończą się w połowie rzeki, przedszkola z więcej niż jednym klozetem na grupę i kanalizację, która nie wpada do rowu w lesie.

Staliśmy się państwem z rekordową długością autostrad i dróg ekspresowych wybudowanych za pieniądze z Brukseli, które w praktyce pozwalają dojechać z Pcimia do Lizbony bez dziury w zawieszeniu.

Od 2004 r. Polska otrzymała ponad 250 mld euro, a wpłaciła ok. 80 mld. Bilans to ponad 170 mld na plusie. Jesteśmy zatem największym beneficjentem netto w historii Unii Europejskiej. Nikt jeszcze nie wyjął z europejskiego bankomatu tylu miliardów, wkładając z powrotem ułamek tej kwoty.

Mamy wolny handel – bez ceł, barier i rewizji celników – oraz wspólny rynek, który działa jak hipermarket, tyle że zamiast promocji na kiełbasę daje ułatwienia dla handlu i ochronę przed zalewem wynalazków z Chin. Jesteśmy liderem eksportu do wspólnego rynku bez ani jednej granicy celnej na wielu arenach. Sprzedajemy jabłka, meble, lodówki i pierogi do milionów Europejczyków, nie musząc za każdym razem tłumaczyć, co to jest faktura VAT w trzech egzemplarzach i dlaczego nasz towar pachnie cebulą.

Możemy studiować w Barcelonie zamiast w Siedlcach. Leczyć się w Berlinie bez kredytu i przeklinać obsługę we włoskiej restauracji bez opłat roamingowych. A nade wszystko: nie zostaliśmy samotną wyspą między Białorusią a Orbánem – a to też coś warte, nawet jeśli nie da się tego rozliczyć w złotówkach.

Pogarda w natarciu

Niestety, takich relacji nie ma. Telewizja Republika i media ojca dyrektora malują obraz Unii Europejskiej jako monstrum z Brukseli, które kontroluje wodomierze w wychodkach i nadaje imiona świniom. Unia każe nam jeść humus, adoptować belgijskich rowerzystów i zamiast opłatka zajadać się gluten-free waflami. A na Wigilię mówić „Święta Zimowe", bo Boże Narodzenie to przecież obraza uczuć niewierzących. Do tego ta cała neutralność klimatyczna! Do czego to podobne?! Ani starym kaloszem, ani wszystkim, co się nie rusza napalić, bo Bruksela się obrazi i dopłat do cebuli nie da.

Według Nawrockiego Unia to elegancki pan w garniturze, który chce nam odebrać krowy i dać w zamian certyfikat na szczęśliwe życie bez mięsa i bez sensu.

Złem są również wspólne standardy prawne, które mają chronić konsumentów, środowisko, pracowników, jakość żywności i powietrza. Dzięki nim nie można dziś wpuścić na rynek szynki z trocin, budować bloków na torfowiskach ani zatrudniać dzieci do pakowania orzechów.

A jednak te słuszności nazywa się importowanym „dyktatem Brukseli", „zamachem na wolność" i „centralnym planowaniem z Zachodu".

Mechanizm praworządności w cywilizowanym świecie oznacza, że jeśli kraj chce korzystać ze wspólnego budżetu, musi przestrzegać wspólnych reguł gry. Nie, nie i jeszcze raz nie! Dla nawrockopodobnych to „szantaż", „ingerencja" i „neokolonializm" a domaganie się niezależnych sądów jest zamachem stanu.

Swobodny przepływ osób i usług to dziesiątki tysięcy Polaków pracujących legalnie za granicą, prowadzących firmy w Hiszpanii, Niemczech, Holandii. Dokonaliśmy największej inwazji gospodarczej na zachód Europy w historii Polski. Jednak w rozumieniu pana Morawieckiego – nie. To „drenaż mózgów" albo „eksport taniej siły roboczej kłaniającej się Niemcowi podczas zbierania szparagów".

Merytoryczna racja w oparach bełkotu

Nikt, kto powinien, nie protestuje! Bruksela nie umie się bronić. UE nie ma dobrego PR-u w Polsce. Nie potrafi komunikować własnych sukcesów, bo uważa, że fakty mówią same za siebie. Urzędnicze miernoty, których nazwiska gdzieś już chyba wspomniałem, tylko rzucają w ludzi numerem dyrektywy. Najgorzej wychodzi im mówienie prostym językiem – bo każde zdanie zaczynają od „zgodnie z art. 127 ust. 2 TFUE", a kończą pytaniem retorycznym o równowagę kompetencji między Komisją a Radą. W takich warunkach merytoryczna racja nie może obronić się sama.

Zwycięstwo narracji, że Unia Europejska to totalitarny projekt narzucony przez lewaków, masonów i producentów krzywych bananów, wymuszający normy emisji, zakaz trzymania świni w wannie oraz przymus recyklingu, było nieuniknione.

Oczywiście to jest hucpa – świadome przeinaczanie faktów na potrzeby partyjnej propagandy. Ci, którzy rzucają podobne kalumnie na Unię Europejską, doskonale wiedzą, że bez unijnej kasy nie byłoby ani programów socjalnych, ani tych wszystkich inwestycji, którymi potem chwalą się lokalni działacze z PiS-u, jakby to oni osobiście zarobili pieniądze na chodnik, szkołę i oczyszczalnię.

Wiedzą też doskonale, że polskie rolnictwo bez unijnych dopłat rozsypałoby się błyskawicznie, niczym domek uciech podczas policyjnego nalotu. I wiedzą wreszcie, że bez obecności w strukturach Zachodu jesteśmy wobec wojny za naszą wschodnią granicą mniej więcej tak uzbrojeni jak średniowieczny chłop z widłami wobec czołgu.

Oczywiście dopóki to rozdwojenie jaźni pozostaje świadome, a Kaczyński powtarza jak mantrę, że polexitu nie będzie, można co najwyżej kręcić głową nad obłudą pisowskich elit. Problem w tym, że ludzie już w to wierzą. A elity, jak wiadomo, nie są wieczne.

Z mózgami w szmacie

Za chwilę wyrosną nowi dwudziestoparolatkowie, którzy w dupie byli i gówno widzieli, ale mają premierowskie ambicje i mózgi wyprane przez profesor Pawłowicz, która przekonała ich, że flaga Unii to niebieska szmata. To oni będą chcieli zmian. Poprowadzą „całą Polskę naprzód", choć nie bardzo wiadomo dokąd, skoro od tysiąclecia jesteśmy dokładnie tam, gdzie byliśmy – między Niemcami a Rosją.

Ale polskie społeczeństwo to naród, który najpierw się obraża, potem modli, potem głosuje na własnych ciemiężycieli, a potem pyta z pretensją w głosie: „Dlaczego jest źle?".

ROBERT JARUGA

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

* Wczesne modele Malucha nie miały stacyjki, a jedynie manetki połączone z przepustnicą i dźwignią rozrusznika stalowymi linkami. Linki te miały skłonność do pękania. Wówczas, aby uruchomić samochód, należało podejść do niego od tyłu, otworzyć pokrywę silnika i posłużyć się czymś do popchnięcia dźwigni rozrusznika. Idealnym narzędziem okazywała się szczotka z krótkim drewnianym trzonkiem, którą każdy szanujący się kierowca Fiata 126p woził ze sobą. Nawiasem mówiąc, Linda uruchamiał Malucha tą właśnie metodą w filmie „Kroll", o ile mnie pamięć nie myli.

Autorytet anonimowych ekspertów

Kampania wyborcza dowodzi, że zawsze znajdzie się ktoś, kto potwierdzi najgłupszą nawet tezę.

Kiedyś ekspert miał nazwisko, tytuł naukowy i jakieś dokonania, które dało się sprawdzić nie tylko w Wikipedii, ale też w bibliotece uniwersyteckiej. Dziś, gdy nazwisko przeszkadza w narracji, a tytuł to już niemal obelga, ekspertów mamy więcej niż ludności. I coraz mniej wiarygodnych.

Psycholog rozbrojeniowy

Ekspert bowiem nie musi już niczego udowadniać. Wystarczy, że ma pogląd. A jeśli ten pogląd da się wpasować w potrzeby medialnego formatu, to już jest gościem porannego pasma. Czasem nawet stałym. I tylko od stanu emocjonalnego danego tygodnia zależy, czy występuje jako specjalista od migracji, pięciogwiazdkowych hoteli, czy też terapii alternatywnej.

Wszechwiedzącego rozpoznasz po tym, że wie wszystko o wszystkim zawsze. Najlepiej oczywiście wypadają w telewizjach informacyjnych, gdzie ich specjalizacje rozciągają się od wojskowości po ginekologię, od inwestycji samorządowych po psychologię dziecięcą. W poniedziałek o 19:30 tłumaczą, czemu F-16 nie może lądować na podkarpackim lotnisku, a już o 21:00 w tym samym studiu radzą, co robić, gdy dziecko nie chce jeść brukselki. We wtorek z kolei analizują wybory w Turcji, w środę zaś dyskutują o kryzysie ojcostwa. Gdyby trzeba było, wypowiedzieliby się i o hodowli ostryg w warunkach miejskich.

Media lubią tę ich pewność siebie. Niekoniecznie popartą czymś, co było kiedyś znane jako fakt, analiza czy – nie daj Boże – metodologia. To się nie sprzedaje. Publiczność nie chce wykresów. Ona chce emocji i prostych odpowiedzi. Żaden fachowiec nie odpowie na pytanie: „czy Putin zaatakuje Polskę" jednym zdaniem. Ale anonimowy „analityk" od geostrategii z Twittera jak najbardziej.

To samo z klimatem. Ekspert klimatyczny w latach 90. mieszkał w namiocie koło Antarktydy i mierzył topnienie lodowców. Dziś ma konto na Instagramie i cykl podcastów o „wpływie palmowego mleka na system hormonalny samic jeży pigmejskich". Mleko nie ma znaczenia. Pigmejskie jeże tym bardziej. Ważne, że tematyka egzotyczna, a fonetyka wyrafinowana. Algorytm rozpozna to jako eksperckość.

Podobnie jest w ekonomii. Gdy ktoś naprawdę zna się na systemie finansowym, to siedzi w Excelu i klepie model regresji wielorakiej. Nie ma czasu ani chęci na komentowanie decyzji Rady Polityki Pie-

eprasa.pl fa494b6db0

Rys. TOMASZ ROGOWSKI

Tak czy owak, zawsze POPiS

Ahoj! Kryzys na horyzoncie!

Sporo Polaków po obu stronach okopów zastanawia się, czy i jak zagłosować w drugiej turze wyborów prezydenckich. Może „zastanawia się" to źle użyte słowo. Bo jak nazwać proces myślowy rozbitków na bezludnej wyspie, którzy widzą statek na horyzoncie, ale nie widzą jego bandery i przypuszczają, że niekoniecznie jest to przyjazny statek, ale raczej statek piratów polujących na niewolników. Co robić? Rozpalić ognisko i wołać o ratunek...? A może nikogo nie wzywać na ratunek, tylko wykorzystać walory uroczej wyspy i zorganizować na niej życie swojej społeczności? Nooo!

Taka opowieść... to by była piękna bajka. Ale w taką piękną bajkę uwierzyło niewielu. Reszta podzieliła się na dwa obozy. Z których zwolennicy jednego rozpalili ogień i dorzucali drew do ogniska, a drudzy starali się polewać ognisko wodą. Statek odpłynął, a rozbitkowie zostali podzieleni. W efekcie na dwóch krańcach wyspy powstały dwa obozowiska. Pierwsze namiotowe o charakterze tymczasowym, bo ludzie skoncentrowali się na budowie tratwy, nie domów. Drudzy zaczęli budować dla swej społeczności ekowioskę. Ale gdyby na statku tym byli piraci i jednak przybili do brzegów wyspy, wszyscy poszliby w dyby.

Czyli sytuacja jest taka: jedni podjęli ryzykowną decyzję, starając się wrócić do niekoniecznie doskonałego świata, z którego wypłynęli w rejs, a drudzy postanowili wykorzystać sytuację, aby zbudować sobie lepsze życie na żyznej wyspie od nowa. Kryzys zawsze jest do tego dobrą okazją.

To była bajka o tym, że nie zawsze dobrą i bezpieczną decyzją jest powierzenie swojego losu załodze statku o nieznanej lub fałszywej banderze.

No a teraz antybajka o fałszywych banderach, czyli trochę historii III RP. Nie obawiajcie się nudy, będzie ciekawie i pouczająco. Informacje te zebrał i uczciwie skomentował w swojej najnowszej książce „Patopaństwo" dr Jan Śpiewak – polecam całą książkę. Świetnie, że to zrobił, bo starzy (jak ja) już coraz mniej pamiętają, a młodzi pewnie nic o tym nie wiedzą.

Zatem przejdźmy do rzeczy, ustalmy, co to za bandera powiewa na tym statku...

Jest rok 1990. W owym czasie po prawej stronie polskiej sceny politycznej dominuje Unia Demokratyczna (UD) – Tadeusz Mazowiecki, Jacek Kuroń, Adam Michnik, Bronisław Geremek. Ci ludzie wywodzą się z Klubu Inteligencji Katolickiej i Komitetu Obrony Robotników, który za czasów PRL tworzył rdzeń opozycji. W tym czasie ich politycznym przeciwnikiem staje się Kongres Liberalno-Demokratyczny (KLD), do którego należeli Donald Tusk, Jan K. Bielecki i Janusz Lewandowski. Szukali sojuszników podobnie liberalnie – balcerowiczowsko – myślących, ale wrogo nastawionych do UD. I oto spadło im z nieba powołane przez braci Kaczyńskich w maju 1990 r. Porozumienie Centrum (PC).

Było ważne dla KLD, że Kaczyńscy dysponowali w owym czasie ważnym tygodnikiem „Solidarność". Obie opozycyjne do UD partie podpisały porozumienie i postawiły na wsparcie Lecha Wałęsy, który jesienią 1990 wygrał wybory prezydenckie. Dzięki temu premierem został jeden z założycieli KLD Jan Krzysztof Bielecki, a Jarosław Kaczyński objął funkcję szefa kancelarii prezydenta Wałęsy. W kolejnych latach, mimo narastającej między liderami niechęci, KLD i PC pozostały w koalicji rządzącej i aktywnie wspierały brutalną terapię szokową, której twarzą był Leszek Balcerowicz.

W 1993 r. doszło do przedterminowych wyborów parlamentarnych, w których zmęczeni i wkurzeni reformami koalicji KLD i PC Polacy postanowili pogonić to towarzystwo wzajemnej adoracji. W wyniku tych wyborów władzę objął SLD, który zaczął rządzić w koalicji z PSL. Tusk i Kaczyński zmuszeni zostali do przeformułowania szyków. Niebawem, bo 1994 r. KLD i UD połączyły siły: utworzono Unię Wolności (UW). Natomiast Kaczyński dołączył do sił postsolidarnościowych, wchodząc w skład Akcji Wyborczej Solidarność. Było to w roku 1996; rok później AWS wraz z Unią Wolności wygrała wybory i przejęła rządzenie Polską.

Ale kiedy w 2000 r. Tusk przegrał wybory o fotel szefa Unii Wolności, doprowadził do rozłamu w tej partii i założył nową partię – Platformę Obywatelską (PO). Podobną woltę wykonali bracia Kaczyńscy, ewakuując się z tonącej koalicji, i na bazie Porozumienia Centrum założyli Prawo i Sprawiedliwość.

Ponownie otworzył się okres bliskiej współpracy między partiami Kaczyńskiego i Tuska. Różnic programowych prawie nie było. Pamiętacie hasło „budujemy IV Rzeczpospolitą"? Wtedy nawet jako Koalicyjny Komitet Wyborczy PO–PiS poszli razem w 2002 r. do wyborów samorządowych. W wyniku tych wyborów Lech Kaczyński został prezydentem Warszawy.

W 2005 r. mieli plan: powołać wspólny rząd z premierem Janem Rokitą. Ale Tusk odpuścił, kiedy okazało się, że wybory parlamentarne zdecydowanie wygrał PiS, a Lech Kaczyński został prezydentem.

I tak się zaczęła nasza współczesna rzeczywistość rządów PO–PiS. Na bazie tworzonych i reżyserowanych różnic obie partie wykopały między Polakami przepaść, która gwarantować im będzie wieczne rotacyjne utrzymanie się u władzy. Liderzy doszli bowiem do wniosku, że jeśli jedni pójdą w stronę bogoojczyźnianego konserwatyzmu, a drudzy w stronę światopoglądowego liberalizmu, to spokojnie przez długie lata wymieniać się będą mogli władzą – i dostępem do pieniędzy. Przy czym żadna z partii nie narusza radykalnie podstaw przyjętej wspólnie w latach '90 ideologii balcerowiczowskiej ekonomii.

Ten układ trwa od 20 lat i przynosi bolesny brak skutecznej polityki gospodarczej i społecznej. Czasem któryś rząd rozda ludziom cukierki i paciorki, podczas gdy energetyka i opieka zdrowotna są w proszku, mieszkania tylko dla bogaczy, niedofinansowana edukacja oraz nauka i ogólnie mało nowoczesna gospodarka produkująca głównie komponenty dla światowych marek.

A teraz ciekawe zestawienie jakie proponuje nam w książce Jan Śpiewak, przypominając najbardziej widowiskowe transfery:

„Jarosław Gowin najpierw był ministrem u Tuska, by zostać wicepremierem w rządzie stworzonym Przez Jarosława Kaczyńskiego".

„Michał Kamiński, który w 1999 roku pojechał (...) z wyrazami poparcia dla krwawego dyktatora Pinocheta, współtworzył potem Prawo i Sprawiedliwość i był szefem kampanii prezydenckiej Lecha Kaczyńskiego. Następnie został najbliższym doradcą premier Ewy Kopacz, a dzisiaj jest senatorem z ramienia Trzeciej Drogi".

„Ludwik Dorn, nazywany niegdyś trzecim bliźniakiem pierwotnie startował do parlamentu z list PO".

„Joanna Kluzik Rostkowska była najpierw szefową kampanii prezydenckiej Jarosława Kaczyńskiego, by potem zostać ministrą w rządzie PO".

„Mateusz Morawiecki był doradcą w rządzie Tuska, by ostatecznie zostać premierem w rządzie stworzonym przez Jarosława Kaczyńskiego".

„Jacek Saryusz Wolski, niegdyś patron Rafała Trzaskowskiego i jeden z liderów PO w Parlamencie Europejskim, przeszedł do PiS-u i został kandydatem tej partii na przewodniczącego Rady Europejskiej".

Roman Giertych „reaktywator Młodzieży Wszechpolskiej, niegdyś wicepremier w rządzie Jarosława Kaczyńskiego, walczący z homoseksualistami i aborcją, dzisiaj poseł Koalicji Obywatelskiej i zajadły antykaczysta".

A ostatnio, bo 21 maja, okazało się, że Jacek Siewiera, sekretarz stanu w kancelarii prezydenta Dudy, dołączył do doradców Donalda Tuska i Rafała Trzaskowskiego.

To oczywiście tylko fragment możliwej do spisania listy

osób „dobrej misji wzajemnej pomocy" w ramach PO–PiS. I nie nazywajcie, proszę, tych ludzi zdrajcami. Nikogo nie zdradzili. Cały czas służą jednej wspólnej sprawie: interesom elity, za jaką się uważają, a raczej patoelity, za jaką powinni być uważani.

Na kogo zagłosować w drugiej turze wyborów prezydenckich? Osoby nastawione liberalnie i proeuropejsko niech głosują na Rafała Trzaskowskiego, a osoby konserwatywnie i nastawione nacjonalistycznie na tego drugiego. Sprawa jasna. Ale warto mieć przy tym smutną świadomość, że istoty patopolityki to nie zmieni i bez względu na wynik wyborów będzie to prowadzić do głębokiego politycznego kryzysu, który zaważy na naszym życiu w niedalekiej przyszłości. Ale kryzys bywa szansą, tylko że nie należy szansy przespać. Bądźmy uważni.

ANNA GRODZKA

---

nieżnej na TikToku. Ale ekspert medialny? On wie, że „stopy będą rosły, ale może jednak spadną". Zależy, kto mu zapłaci za opinię. Albo czy dostanie zaproszenie do kolejnego panelu. Byleby teza brzmiała jasno i mocno. A najlepiej kontrowersyjnie.

Krynice wszechwiedzy

Często ekspert nie ma nawet nazwiska. Pojawia się w tekście jako „osoba zbliżona do sprawy", „informator związany ze środowiskiem" lub „analityk, który pragnie zachować anonimowość". Owi analitycy mają niesamowitą cechę: zawsze potwierdzają narrację redakcji.

Najlepsi są jednak ci, którzy opiniują sprawy moralne. Pedagog z prowincjonalnego ośrodka doskonalenia nauczycieli zostaje ekspertem ds. edukacji seksualnej. Zakonnica pisząca bloga o cnocie niewieściej zaopiniuje ustawę o przerywaniu ciąży. Coach od „życia w zgodzie z oddechem" wypowie się o psychiatrii dziecięcej. Bo nie chodzi o wiedzę, lecz o przekaz. A skoro przekaz się zgadza, to kto by pytał o dyplomy?

Ba, czasem nie mamy już nawet do czynienia z ludźmi, lecz z postaciami fikcyjnymi. W 2018 r. powstał „ekspert" Piotr Niewiechowicz – postać zmyślona przez dwóch dziennikarzy, która została potraktowana przez państwowe instytucje jako pełnoprawny partner w rozmowie o strategicznych inwestycjach energetycznych. Wystarczyło kilka wpisów w mediach społecznościowych i poważnie brzmiący adres e-mail. Tak działa mit eksperta – jego siłą nie jest wiedza, tylko format.

Z kolei w 2022 r. stworzono dr Annę Kowalską, „transdyscyplinarną specjalistkę od ontologii cyfrowej", która bez żadnego dorobku naukowego została zaproszona do rad redakcyjnych dwóch ministerialnych czasopism. Wystarczyło CV, spreparowane przez AI. Nikt nie zadzwonił. Nikt nie sprawdził. Ekspertka była fikcją, ale system uznał ją za swoją.

Tak to wymyśleni eksperci, anonimowi analitycy NATO i pozbawione twarzy źródła MSZ współtworzą medialną rzeczywistość. W Poznaniu pokazano nawet deepfake'owego dr. Nowaka z MIT – syntetycznego eksperta, który przekonywał widzów przez 48 godzin, zanim ktoś odkrył, że nie istnieje.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Dziś każdy może być ekspertem. Dlatego tak często te same osoby krążą od stacji do stacji – nie z powodu wiedzy, lecz rozpoznawalności. W 2024 r. fałszywy ekspert Kamil Całek, mimo jawnych powiązań z prorosyjskim środowiskiem, był zapraszany przez TVP Info jako komentator spraw bezpieczeństwa. Z kolei Cezary Graf, który na początku roku straszył upadkiem bitcoina o 90 proc., był równocześnie cytowany przez Radio Zet jako niezależny analityk. W tym samym czasie Renata Mizerska została mianowana krajowym konsultantem psychoterapii, choć jej doświadczenie ograniczało się do prowadzenia praktyki Gestalt i nieposiadania dorobku naukowego.

Rafał Ziemkiewicz, autor tezy o „humbugu klimatycznym", której absurdalność wytykały wszystkie instytuty naukowe, komentował politykę UE, jakby był profesorem geofizyki. Kaja Godek i Justyna Socha, obie bez jakichkolwiek kompetencji medycznych, regularnie występowały jako „ekspertki" od zdrowia publicznego, a ich narracje przenikały do sejmowych wystąpień i wieczornych wiadomości. Z kolei prof. Jerzy Bralczyk, choć bezsprzecznie wybitny w dziedzinie języka, pytany był o migracje, wybory i relacje polsko-ukraińskie – bo zawsze brzmi mądrze.

Nawet gdy media powołują się na „źródła" w MSZ lub NATO, nie wskazują nazwisk. W marcu 2024 r.

Wirtualna Polska opublikowała tekst o rzekomych planach ataku Rosji na Suwałki, oparty w całości na „anonimowym oficerze NATO". Sprawa nigdy nie została potwierdzona, ale trafiła do wieczornych wydań dzienników, potęgując niepokój społeczny.

Tak działa inflacja ekspertów – głosy rozumiane jako autorytatywne nie przechodzą weryfikacji, ale zdobią narrację. Niezależnie od tego, czy istnieją naprawdę.

Niewiara czyni cuda

W tej rzeczywistości anonimowych ekspertów wszystko jest względne. Wiedza? Subiektywna. Doświadczenie? Opcjonalne. Liczą się mikrofon i liczba followersów. Najbardziej wiarygodny jest ten, kto mówi najgłośniej. Najlepiej jeszcze z oburzeniem. Bo przecież nikt nie oburza się bez powodu. A już zwłaszcza ten, kto występuje w prime timie. Na dodatek media wciąż posiłkują się czymś, co zostało wyśmiane jeszcze w PRL, czyli sondami ulicznymi, gdzie głos ma naród. Zawsze znajdzie się wszak parę osób, które potwierdzą wybraną dziennikarską tezę. A jak się nie znajdzie, to dziennikarz zaciągnie przed kamerę i mikrofon kogoś znajomego, kto raz będzie się słusznie oburzał na dziurę w chodniku, a po tygodniu powie coś miłego o antyaborcjonistach.

Efekty tej inflacji autorytetów już są. Coraz więcej ludzi przestaje wierzyć komukolwiek. Jeśli wszystko może być opinią, to nic nie jest wiedzą. Jeśli ekspert „pojawia się i znika" w zależności od potrzeby narracyjnej, to jak ufać komukolwiek? Więc ufamy sobie. Albo gorzej – memom.

I tak oto mamy kraj, w którym ekspertami od polityki zagranicznej są blogerzy modowi, a komentatorami ładu konstytucyjnego – influencerki od wegańskiego stylu życia. Gdy wszystko jest opinią, wszystko jest też uzasadnieniem. A jak wiadomo, najlepiej usprawiedliwia się własną ignorancję. Zwłaszcza gdy jest ubrana w garnitur z opinii i muszkę z niemówiącego nic nikomu podpisu na dole ekranu.

TOMASZ BOROWIECKI

eprasa.pl fa494b6db0

Kiedy Braun zostanie sojusznikiem antyfaszystów?

Social washing po polsku

Rys. WIDGET

Nic tak nie jednoczy jak plemienne modły do Matki Boskiej Optymistycznej, ale kto naiwnemu zabroni?

Sztuka dla sztuki

Będąc ostatnio w Gdańsku, odwiedziłam zlokalizowane na postoczniowych terenach, działające jako oddział gdańskiego Muzeum Narodowego, muzeum sztuki współczesnej Nomus. Wystawa pt. „Gościnności" traktująca o wspólnej debacie nad nacjonalizmem, wykluczeniem, diagnozie procesów społecznych oraz kondycją szeroko pojętej ludzkości, obfitowała w instalacje poruszające m.in. problem kryzysu migracyjnego i praw kobiet, czyli dwa tematy od kilku lat intensywnie – by nie powiedzieć do wyrzygu – maglowane przez polską scenę polityczną. Wśród wielu eksponatów znalazł się cykl fotografii „Strajk" Rafała Milacha, dokumentujący siłę Czarnego Marszu; rzeźby Agnieszki Kalinowskiej „Welcome" oraz „Ciężka woda" i praca „Hasun" laureata konkursu Grand Press Photo z 2015 r. Macieja Moskwy, pokazująca 12-letniego uchodźcę z Kobane patrzącego na widza zza ogrodzenia obozu w Turcji – wszystkie skłaniające do refleksji nad fasadowością problemu uchodźstwa w krajach wysoko rozwiniętych.

Podziwianie wystawy nieprzyjemnie zbiegło się w czasie z cenzurą pracy autorstwa zaangażowanego w sprawy społeczne gdańskiego twórcy wizualnego Jacka Staniszewskiego.

W ramach kampanii grupy Viva Palestyna, będącej efektem zbiórki społecznej, z początkiem maja na ulicach Warszawy, Krakowa i Wrocławia umieszczono plakaty artysty, informujące opinię publiczną o liczbie ofiar cywilnych w Strefie Gazy. Na grafice przedstawiającej obraz ciała przykrytego palestyńską kefiją (arabska chusta), spod której wystają stopy ofiary, widniał napis „GAZA" oraz informacja „52.000 Palestyńczyków, w tym 17.000 zamordowanych przez Izrael". Mimo iż podane na plakacie liczby pochodziły z publicznie dostępnych raportów organizacji międzynarodowych i informacyjnych (np. Raport ONZ z kwietnia 2025 r.), instalacja nie przypadła do serduszka ambasadzie Izraela.

Na mocy wystosowanej przez jej pracowników skargi dystrybutor billboardów i citylightów, firma Clear Channel Poland, karnie zasłoniła kampanijne plakaty.

Firma reklamowa uzasadniła swoją decyzję, twierdząc m.in., że grafika jest „sprzeczna z dobrymi obyczajami", bo przedstawia fragment ciała ofiary, zawiera informacje o liczbie zamordowanych Palestyńczyków bez wskazania źródła oraz „może naruszać dobra osobiste obywateli Izraela".

I wreszcie, że nawet po modyfikacjach obraz może „budzić niepokój wśród dzieci". Zleceniodawcom – w tym wypadku aktywistom – nie ujawniono treści skargi, do wora zarzutów dorzucono natomiast fakt, iż treści zaprezentowane na reklamowych nośnikach nie stanowią promocji towaru ani usług. Choć logika wskazywała, że nie idzie o reklamę dywanów, a firma od początku wiedziała, że kampania ma charakter społeczny.

„Jeśli agencja reklamowa zablokowała ekspozycję pod wpływem interwencji dyplomatycznej obcego państwa, to mamy do czynienia z precedensem niebezpiecznym i groźnym – cenzurą w służbie politycznego nacisku" – napisali członkowie Viva Palestine i trudno się z nimi nie zgodzić. Trudno też szukać komentarzy polityków opcji rządzącej; o sprawie nie zająknął się żaden. Gdyby w trakcie trwania kampanii prezydenckiej podobny numer wobec Ukrainy odwaliła ambasada rosyjska, reaktor jądrowy pośrodku wojny między politycznymi plemionami rozgrzałby się do czerwoności. Cóż, jak pech to pech.

Co wspólnego – poza gdańskim akcentem – mają propalestyńskie billboardy ze wspomnianą wystawą? W kraju nad Wisłą wszelkie protesty czeka jeśli nie obojętność, to w najlepszym razie umuzealnienie.

Sztuka dla mas

„Wiecie, że to już nasz ostatni marsz? Jak wygra Trzaskowski, to nie będzie już potrzeby, a jak wygra Nawrocki, to nie będzie już możliwości" – niosło się hasło, jak Polska długa i szeroka, przed Marszem Patriotów 25 maja. W intencji obrony Polski przed skrajną, szurską, mizoginistyczną, antydemokratyczną, antyaborcyjną i prorosyjską prawicą maszerowały tłumy. Ledwie dzień po tym, kiedy kandydat Platformy Obywatelskiej w ramach ukoronowania zwycięskiej bitwy na argumenty ze Sławomirem Mentzenem strzelił z gospodarzem programu browara w jego knajpie. Tak jak robią chłopaki, kiedy się znudzą mierzeniem siusiaków za garażami.

Rys. WIDGET

Słaby rząd, który wystawił równie słabego kandydata, musiał przesunąć okno Overtona tak bardzo w prawo, że doraźne sztandary politycznych salonowców – „ludobójstwo", „piekło" i „faszyzm" – zamieniły się w ścierę, oczywiście ku chwale demokracji.

Antypisowska pigułka Tuska zawiodła na tyle, że w obronie ojczyzny przed prezydenturą kibola, kumpla alfonsów, pod sztandarem deregulacji i powstrzymania szaleństw lewicy, aktywistów i ekologów, trzeba było zawiązać sztamę z Konfederacją.

Normalizowanie skrajnej prawicy – tej samej, która podczas Czarnego Marszu „chroniła" kościoły przed kobietami, która chce nakazać kobietom rodzić dzieci z gwałtów – sprawiło, że piekło kobiet jakby ostygło. Pewnie od zimnego piwa.

„Sławomir Mentzen zrobił coś niesamowitego. Coś, czego nie zrobiły żadne media, czwarta władza. Dał przestrzeń, zasięgi i możliwość autentycznej prezentacji kandydatów. Trzaskowski znokautował Nawrockiego. Dobre, mądre, propaństwowe. Przy całym moim dystansie do Konfederacji" – piała z zachwytów w serwisie X Dorota Brejza. „Piwo Mentzena dało mi większego kopa niż snus Nawrockiego! Wczoraj pokazaliśmy, że Polak z Polakiem może normalnie rozmawiać, bez jadu. Lepsza Polska jest możliwa!" – napisał Radosław Sikorski.

„Z wielką radością wiele razy uczestniczyłem przed laty w spotkaniach, także towarzyskich, ludzi takich jak prof. Stefan Niesiołowski czy Józef Oleksy oraz innych wybitnych parlamentarzystów. To były pełne kultury, klasy i kurtuazji spotkania szanujących się politycznych adwersarzy, a nie fraternizowanie się z funkcjonariuszami partii od lat niszczącej w Polsce cywilizowaną politykę i normalną debatę. Tamto było świadectwem normalności, to ostatnie przykładem relatywizacji zła" – podsumował Tomasz Lis. Ale nie zbijanie piątek Trzaskowskiego z Mentzenem, a nagranie z Parlamentu Europejskiego z października ubiegłego roku, na którym Anna Zalewska z PiS, Joanna Scheuring-Wielgus i Robert Biedroń z Nowej Lewicy śmieszkują, stojąc na fajce przed budynkiem. Tak mi się jakoś przypadkiem przypomniało i skojarzyło.

Skończyły się żarciki, brzytwa Ockhama ucięła poszczekiwanie lewactwa. Tematy lewicowe zdewaluowały się jak paczka prezerwatyw na bezludnej wyspie.

Skoro tydzień po słabym wyniku kandydata KO w pierwszej turze wyborów prezydenckich, po zalewie analiz i esejów o zbrunatniałej Polsce, państwowy social washing zażarł tak dobrze – za dwa, może pięć lat przyjdzie nam pokornie przyjąć do serca, że pan Grzegorz Braun ma tylko taką kreację i nie trzeba się na niego dąsać. Bo to on może nam pomóc w powstrzymaniu faszyzmu. A jeśli przejdzie jeszcze jakiś marsz, fotosy zasilą kolekcję kolejnego muzeum – sztuki nowoczesnej. Zobaczymy, zobaczymy...

IDALIA DUBICKA

Dziecko Magdy, Pudelka i Kuby

On po prostu zwyczajnie ma talent

Jakub Żulczyk znany był z literackich opisów gangsterów i narkotykowych dilerów. Teraz zabrał się za polityków. Wyjątkowych, bo polskich.

Trzeba też przypomnieć, że w 2020 r. Jakub Żulczyk zamieścił w tzw. mediach społecznościowych wpis kończący się stwierdzeniem, że „Andrzej Duda jest debilem".

Wtedy przestrzegająca prawa polska prokuratura musiała wszcząć postępowanie. Bo paragraf 2 artykułu 135 kodeksu karnego traktuje obrazę prezydenta jako przestępstwo zagrożone karą więzienia do lat trzech.

I nawet gdyby prezydent Duda zadeklarował, że nie czuje się obrażony, to prokuratura postępowanie wszczynać musi.

Kiedy byłem młodym posłem hej, w 2007 r. przygotowałem projekt ustawy o wykreślenie tegoż paragrafu. Miał poparcie Wysokiej Izby, ale rychło skróciliśmy sobie kadencję, fundując społeczeństwu przedterminowe wybory parlamentarne. Przegrałem je.

I tak to głupie prawo ośmieszające urząd prezydenta RP i prokuratorów pozostało.

W przypadku pisarza Żulczyka wszczęcie postępowania zakończyło się oskarżeniem go, które dotarło do przeciążonych pracą sądów. Po dwóch latach bezsensownego rozpatrywania Sąd Najwyższy wreszcie umorzył postępowanie sądowe.

Jednak od tamtej pory zawsze, kiedy publicznie padała nazwisko Żulczyk, od razu pojawiały się skojarzenia z tym gościem, który obrażał prezydenta Dudę.

Na pożegnanie wszyscy razem

Teraz prezydent Andrzej Duda odchodzi. Bo rzeczywiście „Polska to nie Białoruś", tu nawet literackich prezydentów wiecznie żywych już nie ma. Najnowsza powieść „Kandydat" jest zatem pożegnaniem przyklejonego medialnie autora do człowieka już niechronionego paragrafem 2. kodeksowego artykułu. I rozliczeniem się z tamtej zażyłości.

Ale, i na szczęście, to nie tylko klepsydra dla odchodzącego prezydenta jest.

Akcja powieści rozgrywa się w dniu wyznaczonym na głosowanie. Drugiej tury wyborów na prezydenta RP.

Dzień to będzie wyjątkowo długi. Bo już o trzeciej rano urzędujący Prezydent, kandydujący na drugą kadencję, dowiaduje się, że właśnie wypłynęły kompromitujące go informacje. Posiada je Reporter, który zamierza sprzedać je wrogim Prezydentowi mediom.

Te „kompromaty" mają moc taką, że decydującym się na publikacje mediom opłaca się nawet złamać prawo, czyli obowiązującą już ciszę wyborczą. Zapłacić nawet milionowe kary.

Media uważające się za ideowe, jak „Gazeta Krajowa", zrobią to, aby w ostatniej chwili splugawić kandydującego Prezydenta. Balansującego w przedwyborczych sondażach na granicy wygranej.

Inne, jak „Portal", „Tygodnik", a zwłaszcza „Tabloid", zrobią to przede wszystkim dla cudownego pomnożenia zysków.

Pobudzony takimi informacjami Prezydent rusza ze swej nadmorskiej rezydencji do stolicy. Ten dzień będzie jego drogą krzyżową. Będzie rozpamiętywał całe życie swoje. Będzie znosił baty moralne i obelgi

Upadał i podnosił się. Marząc czasem o reelekcji, czyli zmartwychwstaniu.

Tegoż samego dnia podobną drogę rozpocznie Reporter. Posiadacz owych „kompromatów". Zaproponuje je bogatym i wpływowym mediom. Chce sprzedać je korzystnie, jak najdrożej. Intuicyjnie liczy na ich rywalizację. Wciąga się w spiralę licytacji i coraz bardziej niebezpieczne zagrywki.

Reporter był kiedyś gwiazdą w plejadzie „Gazety Krajowej". Miał lata tłuste. Był klasykiem i nawet nauczycielem dziennikarskiej młodzieży. Nie dostrzegł mentalnych zmian pokoleniowych. Nowych norm, innego stylu życia obowiązującego w środowisku dziennikarskim.

Jeden błąd i król życia stał się seksistowskim oblechem i dziadersem. Wyrzucony z „Gazety" mentor spadł do roli taniego drania od kompromitowania.

Pewnie dlatego nie liczy na swe zmartwychwstanie. Zadowoli się rolą zbawionego łotra.

Cień Pudelka

Dawno temu, bo w 1990 r., z gazety „Trybuna Ludu", jak z kończącej swój żywot medialnej poczwarki, wykuł się nowy byt. Gazeta „Trybuna".

Lewicowa, ale inna od poprzedniczki. Wtedy na jej łamach pojawiła się nowatorska, pisana w codziennych odcinkach powieść Magdy Cień „Pierwsza dekada".

Satyryczna i polityczna. Pokazująca w skrzywionym zwierciadle burzliwe życie polityczne elit III Rzeczpospolitej. Każdy z jej bohaterów był karykaturą któregoś z ówczesnych polityków. Mówił jego językiem, jadł jego potrawy, podobnie też politykę uprawiał. Nosił powieściowe, łatwe do rozpoznania nazwisko. Lech Wałęsa był tam Ludwikiem Krokiem, Donald Tusk był Rolandem Kiełem, a bracia Kaczyńscy braćmi Kurkiewiczami.

eprasa.pl fa494b6db0

Nasilenie polskiej obsesji

Pożytki z Żydów

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Im mniej jest Żydów w Polsce, im dalej od Zagłady, tym bardziej nasila się ważność Żyda jako figury retorycznej w naszym kraju. Nie, nie jest to bynajmniej figura retoryczna w dyskursie publicznym – w Polsce racjonalna debata polityczna jakoś nie bardzo się przyjęła. Zamiast kunsztownej szermierki słownej jest ustawka kiboli (coś znanego z autopsji „kandydatowi obywatelskiemu" Karolowi Nawrockiemu) z pojęciami używanymi w roli pałek i maczet, prowokacji walących po ryju z siłą kastetu i inwektyw koszących adwersarzy niczym fruwający krowi łańcuch.

Jedwabne 2.0

W prasie, internecie i mediach społecznościowych trwa zażarta walka między tymi, którzy chcieliby ojczyznę „oczyścić" z żydostwa i tymi, którzy na pytanie, co należy nosić w dobrym towarzystwie w obecnym sezonie, odpowiadają jednoznacznie: Żydów na rękach. Nie zrównuję zoologicznych antysemitów z filosemitami, ale stosowanie przez tych drugich szantażu emocjonalnego czy moralnego jest na wskroś obrzydliwe, a niekiedy do bólu koniunkturalne. I, co nie bez znaczenia, ogłupiające ludzi, nie wspomnę nawet – że nie tyle nieskuteczne, co przeciwskuteczne.

Najświeższym wykwitem zidiociałego filosemityzmu jest wypowiedź psychologa społecznego dr. hab. Michała Bilewicza – gwoli przypomnienia to ten pan, co chce karać za krytykę Izraela, włącznie z jego największymi zbrodniami. Otóż wykładowca Uniwersytetu Warszawskiego i bożyszcze liberałów na portalu X napisał po pierwszej turze wyborów prezydenckich: „Nie dajcie się zwieść. Wybór jest prosty: sprowadza się do tego, po której stronie stodoły w Jedwabnem staniesz. Czy z jej podpalaczami, dobijającymi ofiary siekierami i widłami? Czy może po stronie Antoniny Wyrzykowskiej, która ratowała Żydów, za co musiała uciec z miasta?".

Nie żebym darzyła szczególną miłością kandydata PiS-u, ale zrównanie głosowania na niego z mordowaniem widłami Żydów to jednak lekka przesada. I czystej wody idiotyzm, który więcej mówi o Bilewiczu i środowisku, które reprezentuje, niż o polskich wyborcach.

Trzeba nie byle jakiego talentu, aby Grzegorz „Gaśnica" Braun wyszedł na tle wynurzeń Bilewicza na wręcz człowieka rozumnego, gdy w ostatnim pytaniu, jakie zadał pisemnie Nawrockiemu i Trzaskowskiemu, apelował o „doprowadzenie do ekshumacji w Jedwabnem, odrzucenie roszczeń żydowskich oraz zaprzestanie celebracji chanukowych w pałacu prezydenckim".

Socjalizm głupców

Zgodnie ze starym powiedzeniem antysemityzm to socjalizm głupców. Nie przez przypadek w niesławnej „piątce Mentzena" obok „nie" dla Unii Europejskiej, aborcji, homoseksualistów i podatków znalazło się „nie" dla Żydów. Polska prawica już od XIX w. walczy o czystość rasową, szczególnie apelując o „odżydzenie" kraju, akcentując rolę Polski jako „przedmurza chrześcijaństwa".

Roman Dmowski – osobiście religijnie obojętny – wiedział, że katolicyzmu można używać, by uderzać we wszystko, co obce nacjonalizmowi: mniejszości narodowe i religijne (Żydów, Ukraińców, Białorusinów) i szeroko rozumianą lewicę (socjalistów i komunistów). Zabawne, ale jego antysemityzm brał się z przekonania, że Żydzi są od Polaków sprytniejsi, cwańsi i zawsze trzymają się z sobą, których to cech odmawiał rodakom. Jego zdaniem Żydzi stali zarówno za krwiopijczym kapitalizmem, jak i komunizmem (żydokomuna). Wiadomo, że silna, nacjonalistyczna i zamordystyczna władza wiele korzysta na tym, że ma za sobą zorganizowaną religię, zwłaszcza tak hierarchiczną jak katolicyzm. Oczywiście za wspieranie rządu biskupi swoje wezmą, a apetyty mają raczej z gatunku pokrewnych żarłaczowi białemu…

Po wojnie, choć oficjalnie ojczyzna była internacjonalistyczna, antysemityzm nie zanikł, a w 1968 r. został wykorzystany w wewnętrznych partyjnych rozgrywkach. Wbrew temu, co się dzisiaj zwykło uważać, skreślone w 1956 r. przez Czesława Miłosza słowa („jest ONR-u spadkobiercą Partia"), nie miały uderzać w narodowców, lecz w komunistów-narodowców.

Z filmów Stanisława Barei możemy dowiedzieć się, jak istotną pozycję próbowało odgrywać bliskie Związkowi Radzieckiemu i nacjonalistyczno-antysemickie Zjednoczenie Patriotyczne „Grunwald" i ci wszyscy, którzy wbrew oficjalnej linii polityki odprężenia z kapitalistyczną Republiką Federalną Niemiec uznawali Niemców (niczym Dmowski) za odwiecznego wroga Polaków. Znamy jednego starszego pana z Żoliborza o imieniu Jarosław, który choć wywodzi się ze styropianu, czasami retoryką „Grunwald" przypomina.

Kiedy zaś system upadł, najbardziej obrzydliwe postacie – jak niesławny kandydat na prezydenta RP Leszek nomen omen Bubel – urządzały sabaty antysemickich czarownic. A kiedy Jan Tomasz Gross ujawnił w „Sąsiadach" zbrodnię w Jedwabnem, mit narodu, którego hobby w czasie II wojny światowej było ratowanie Żydów, rozsypał się niczym zmyty falą zamek na piasku.

Polak, czyli antysemita

Zgodnie z trzecią zasadą dynamiki Isaaca Newtona – oddziaływania ciał są zawsze wzajemne, w inercjalnym układzie odniesienia siły wzajemnego oddziaływania dwóch ciał mają takie same wartości, taki sam kierunek, przeciwne zwroty i różne punkty przyłożenia (każda działa na inne ciało) – idiotycznemu antysemityzmowi przeciwstawia się idiotyczny filosemityzm czy raczej antyantysemityzm.

Bo wiadomo, że w tym kraju normalnie być nie może; spokojna dyskusja, posługująca się rzeczowymi argumentami, jest niegodna potomków sarmackiej szlachty.

Pod koniec kwietnia br. Przemysław Gdański, prezes polskiego oddziału banku BNP Paribas, stwierdził w rozmowie z „Pulsem Biznesu": „Być może nadal na poziomie podświadomym funkcjonuje skojarzenie, że banki to Żydzi, a przecież Żydów się nie lubi. Polska jest krajem, w którym pozornie antysemityzm jest marginalnym zjawiskiem, ale de facto on jest głęboko zakotwiczony w społeczeństwie". I rezolutnie dodał: „Powinniśmy nad tym mocno ubolewać, ale śmiem twierdzić – i wiem, że to może być mocno kontrowersyjne – że jakiś element niechęci do banków bierze się właśnie z tego głęboko zakorzenionego antysemityzmu i kojarzenia banków z Żydami, czyli tymi, którzy nie pracowali na roli, ale obracali pieniędzmi".

Gdański mówił o tym w kontekście sporów prawnych z frankowiczami, przegrywanych masowo przez banki przed sądami. A zatem – logicznie rzecz ujmując – polscy sędziowie to w sumie też antysemici, bo to jednak Polacy. A Polak, jak wiadomo, to najczęściej antysemita. Prezes pod naciskiem wycofał się z tych skandalicznych dywagacji, ale smród pozostał. I jest w tym nawet coś zabawnego, że oszukańcze praktyki banków mają być aprobowane, bo jak ktoś nie lubi banksterów, to pewnie jego dziadkowie mordowali Żydów, a przynajmniej ich korciło.

Na marginesie, Gdański nie wymyślił niczego nowego. Kiedy chciwość banków wywołała kryzys globalny w 2008 r., Abe Foxman, ówczesny lider żydowskiej Anti-Defamation League, twierdził wprost, że wskazywanie jako winnego największego wtedy banku inwestycyjnego na świecie – Goldman Sachs – to obrzydliwy antysemityzm, przecież inne, nieżydowskie banki, np. Morgan Stanley, robiły dokładnie to samo…

Skutkiem ubocznym, oczywiście niezamierzonym, jest wmawianie Polakom, że wszelka krytyka Żydów i osób o żydowskim pochodzeniu – prawdziwych, bo o urojeniach osób pokroju Brauna nie chce mi się wspominać – jest niedopuszczalna, moralnie naganna i już tylko mały kroczek dzieli ją od rozpalania w piecach krematoryjnych.

Dobrze skądinąd wyśmiał powyższe podejście Zygmunt Miłoszewski w drugim tomie trylogii o prokuratorze Teodorze Szackim („Ziarno prawdy"). Ze złośliwą ironią kreśli sylwetki pełnych egzaltacji dziennikarzy warszawskich (sugerując wyraźnie, że idzie o „Gazetę Wyborczą"), którzy namawiają urzędnika państwowego, aby dał odpór antysemityzmowi, stanął po stronie oświeconej elity, choć Szackiemu zależy jedynie na złapaniu sprawcy zbrodni.

Wbrew temu, co sądzą żydożercy i miłośnicy Żydów, ta grupa etniczna (bo nie zawsze już religijna) jest podzielona jak nieomal wszystkie inne grupy. Czynienie z niej pomiotu szatana czy chodzących po ziemi aniołów to przejaw prostego błędu: absurdalnej generalizacji.

A wszystkim nawiedzonym, tępiącym jak najbardziej rzeczową krytykę ludobójczego Izraela i konkretnych Żydów (w odróżnieniu od Żyda niematerialnego, utkanego z antysemickich miazmatów), powiem wprost: w jakimś stopniu sprawiacie, że wasze sny o powszechnym w Polsce antysemityzmie stają się samospełniającym się proroctwem…

KATARZYNA KOENIG

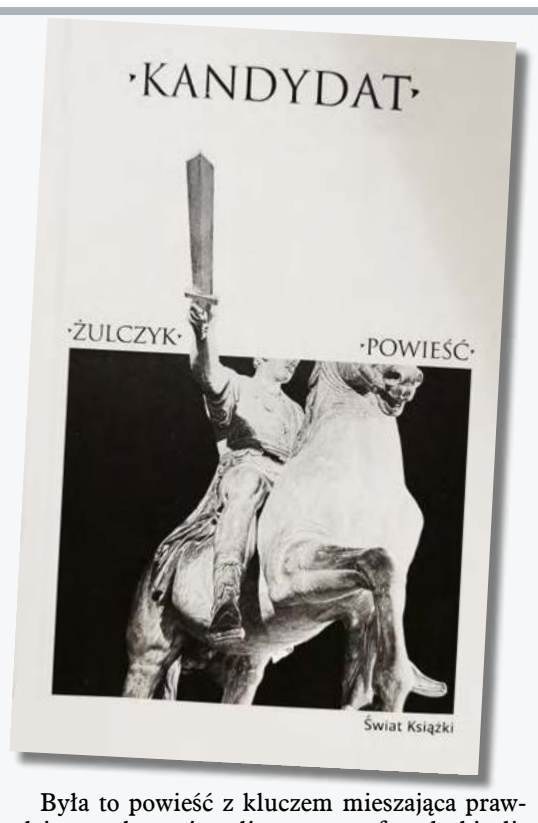

Była to powieść z kluczem mieszająca prawdziwe wydarzenia polityczne, poufne plotki z literackimi kreacjami. Ujawniała wiele prawdziwych i skandalicznych wydarzeń, jakich gazeta nie mogła otwarcie publikować. Ze względów obyczajowych i procesowych.

To sprawiło, że do znajomych Magdy Cień – a za takiego też uchodziłem – zgłaszali się politycy z wszystkich opcji politycznych, aby przekazać autorce kompromitujące ich przeciwników opisy wydarzeń. Najczęściej nadawano na konkurentów z własnej partii.

Pewnie dlatego „Pierwsza dekada" cieszyła się wielką popularnością wśród polityków i ich fanów. Miała licznych naśladowców w lokalnych gazetach i rozgłośniach radiowych.

Teraz nowa powieść „Kandydat" jako żywo przypomina klasyczną Magdę Cień.

Każda z literackich postaci ma swój klucz. Może być odczytywana jako lustrzane odbicie prawdziwej. Widziane w gabinecie krzywych luster, bo to pozwala na unikanie ewentualnych procesów o zniesławienie.

I tak każdy z czytających rozpozna w powieściowym Carze prezesa Kaczyńskiego. W zmagającym się z homoseksualizmem Prokuratorze polityka, zwanego też Zerem. W wiecznie nasączonym Ceracie pana ministra Kamińskiego. A w liderze opozycji Fantastycznym znanego już Rolanda Kieła.

Wyjątkowo krzywo, jak na polskie warunki, wypadają odbicia znanych powszechnie mediów. Popularną kiedyś „Gazetą Krajową" kierują trzy Wiedźmy z „Makbeta". Są nimi Wielki Jąkała, Dziennik i Komunistka. Gwiazdy minionych sezonów polityczno-dziennikarskich.

Nie lepszymi są „Portal" i „Tygodnik". Manipuluje nimi Właściciel, publikujący przeróżne kompromitaty na zlecenie klientów transferujących mu państwowe dotacje.

Konkurujący z nimi „Tabloid" to ściek nacjonalistycznych, antysemickich populistów. Nienawidzi „Gazety Krajowej". Publikuje wszystko, co skompromituje ową „agorę moralnych autorytetów".

W sumie polscy dziennikarze jawią się w „Kandydacie" jako obrzydłe kurwy, a dziennikarki jako wyjątkowe chuje.

Na pocieszenie im przypomnieć można, że polski Kościół katolicki też lepiej tam nie wypada. Jawi się jako „Kościół Szatana", w którym katolicy i już niewierzący tworzą sobie wspólne piekło codzienności.

Jedynym porządnym politykiem jest tam Mistrz. Brat Cara. Ofiara katastrofy. Powracający we wspomnieniach Prezydenta jako dobrotliwy mentor. Mit, bo przecież „czasami najpiękniejsze karty zapisujemy po śmierci".

Pozostali politycy jeszcze do właściwego samolotu nie wsiedli.

Pomimo to polecam

Na szczęście dla czytelników „Kandydat" nie jest jedynie echem „Pierwszej dekady". Kolejną polityczną powieścią z kluczem. Bo autor pożenił Magdę Cień z portalowym Pudelkiem. Nasycił swą powieść licznymi, przede wszystkim obyczajowymi plotkami.

Nie oczekujcie zatem politycznych mechanizmów, wielkich idei w tym „Kandydacie". Znajdziecie za to tam wielkie namiętności, zranione miłości, nienawiści i seks nawet. Wszystko, co czytelnicy teraz lubią najbardziej.

Akcja „Kandydata" mogłaby dziać się w którejś z dużych korporacji.

Ale wtedy powieść nie wzbudziłaby tak wielkiego zainteresowania. Bo wielokrotnie opisywane korpoludki znudziły się polskim czytelnikom.

Zaś długotrwałe, przewlekłe, codziennie obecne prezydenckie wybory rozbudziły w czytającym narodzie zainteresowanie politycznymi sferami.

Powieść „Kandydat" wywołała już wielkie zainteresowanie podczas ostatnich Warszawskich Targów Książki. Szybko też jej pierwsze rzuty sprzedały się w krajowych księgarniach. To niekwestionowany sukces towarzyski i finansowy.

W pełni zasłużony, bo z tego mariażu Pudelka i Magdy Cień narodził się świetny, dziś „najmocniejszy polityczny thriller III RP".

Znakomity kryminał rozgrywający się w politycznych dekoracjach. Z wielce zaskakującym finałem. Wynagradzającym politologiczną miałkość powieści.

Bo Jakub Żulczyk wielki talent pisarski ma. I nawet polskich polityków poczytnymi uczyni.

PIOTR GADZINOWSKI

Jakub Żulczyk, „Kandydat", Świat Książki, Warszawa 2025.

eprasa.pl fa494b6db0

1 czerwca: Dzień Dziecka Dożywotniego

Rys. PRZEMYSŁAW ZAMOJSKI

Ostatni dzwonek

W jednej z podwarszawskich szkół pani od matematyki zajmowała się na lekcji odpytywaniem dzieci oraz robieniem sprawdzianów i kartkówek. Czyli tym, co robi każda matematyczka i matematyk. Dzieci o „królowej nauk" pojęcia nie miały, więc z powodu dramatycznych ocen z klasówek cały ciężar uczenia spadał na rodziców i korepetytorów. Co dla rodziców było normą, bo sami też tak mieli. Pech chciał, że dyrekcja wymyśliła kółko matematyczne z nauczycielką z zewnątrz. Cwani rodzice zapisali na nie wszystkie dzieci z klasy. I poprosili panią, żeby – zanim zacznie robić rzeczy ponadprogramowe – pogadała z uczniami o tym, co mieli na „normalnej" matematyce. Po paru zajęciach okazało się, że nawet najmniej zdolni uczniowie zaczęli mieć oceny znacznie wyższe niż 1+.

Wysiadywanie ławki

Do wszystkich dotarło, że nawet matematykę można zrozumieć, jeśli tylko nauczyciel chce i umie jej nauczać. Pani z zewnątrz i chciała, i umiała. Rodzice doszli zatem do wniosku, że postarają się o wywalenie dotychczasowej matematyczki, a na jej miejsce załatwią robotę tej od kółka matematycznego.

Nic z tego. Rodzice usłyszeli od dyrektorki, że taka podmiana nic nie da. Bo kanony nauczania zakładają, że nauczyciel ma odpytywać tylu a tylu uczniów, a sprawdziany robić z określoną częstotliwością. W związku z tym choćby chciał – nie ma czasu uczyć. Jeśli zatem przyjdzie nowa osoba, to nic się nie zmieni. I się nie zmieniło, bo dobra matematyczka, mogąc przebierać w ofertach zatrudnienia, szybko znalazła robotę w innej szkole.

W prywatnych podstawówkach potrafi być jeszcze ciekawiej. Znajomy, zaniepokojony ocenami swojej latorośli z polskiego, poszedł porozmawiać o tym w szkole. Dowiedział się, że to jego wina, bo nie nauczył dziecka czytać ani pisać. Wypowiedziane zostało to takim tonem, że zawstydzony rodzic nie napomknął nawet o tym, że przecież za coś płaci czesne.

Młodzież w siódmych klasach ma zazwyczaj 32 godziny lekcji, nie uwzględniając lekcji religii. To zaś oznacza, że kwitnie w szkole 34 godziny tygodniowo, bo nawet jak nie chodzi na religię, to ma w tym czasie okienka, gdyż katecheza na pierwszej lub ostatniej godzinie jest równie częsta jak zamarznięta Wisła latem. Gdy te godziny podzielimy na pięć dni, to wyjdzie, że – z jednym wyjątkiem – młodzi ludzie przebywają w szkole od ósmej do wpół do trzeciej.

Zabawne jest i to, że nauczyciele mający dostęp do niegdysiejszych dokumentów szkolnych obczaili, że przed epoką gimnazjów siódmoklasista spędzał tygodniowo w szkole 23 godziny. Ba, mniejsze obciążenie od dzisiejszych siódmoklasistów miały nawet trzecie klasy gimnazjów, bo ich pensum wynosiło „ledwie" 31 godzin.

Geniusze tatusia i mamusi

Rodzice starszych dzieci nie protestują. Po paru latach łażenia na wywiadówki wiedzą już, że to nie ma sensu. Dlatego najgorsi dla grona pedagogicznego są tatusiowie i mamusie uczniów najmłodszych. Czepiają się o wszystko. Najbardziej zaś wkurzają ich przeciążone tornistry. Deliberacje nad tym tematem trwają od lat. Nikt nie widzi, że sprawy nie ma. Albowiem prawie wszyscy rodzice przez pierwsze trzy lata podstawówki osobiście przyprowadzają swoje pociechy do szkoły, a po lekcjach je odbierają. W związku z czym uczniom, którzy wszystkie zajęcia mają w jednej klasie, ciężki tornister nie ciąży. Mają go na sobie parę minut dziennie. A i to nieprawda, bo większość współczesnych tornistrów, z powodu posiadania kółek i rączki, nie wymaga noszenia, a jedynie ciągnięcia.

Wielką troską rodziców najmłodszych uczniów jest też bezpieczeństwo ich pociech. Zagrażają im głównie dysfunkcjonalni koledzy. A ich liczba z roku na rok rośnie. Pokazują to raporty z przedszkoli. Dzieci z problemami psychicznymi, niedosłuchem i niedowidzeniem czy ADHD jest w przedszkolach ok. 30 tys., a jeszcze w 2009 r. tylko – 7,7 tys.

Zdaniem ekspertów te wyliczenia to bzdura, wynikająca z konieczności robienia statystyk. „Innych" zawsze było tyle samo. Ale kiedyś szkoła wiedziała, jak sobie z tym zjawiskiem radzić. Teraz lepiej od pedagogów wiedzą rodzice. To oni rządzą, to oni mogą wywalić nauczyciela, a nawet zwolnić dyrektora. Szkoła zatem musi ich słuchać. I zatrudnić psychologa, który będzie strzelał umoralniające gadki małemu chuliganowi i jego rodzicom. Ci i tak będą wiedzieli swoje, a młody człowiek zrozumie, że wszyscy mogą mu nagwizdać. I nawet jak taki ktoś dostanie łomot od kolegów, to prawdziwe sankcje dotkną tych, którzy bronili grupy przed agresorem. Tatuś czy mamusia wezwą policję i prokuratora i udowodnią, że ich aniołek został bestialsko potraktowany.

Współczesność nie toleruje tego, co w grupach rówieśniczych istniało od zawsze. A to w nich każdy uczył się socjalizacji, czasem boleśnie. Dziś synek czy córka są maluszkami, które cały czas mają być pod ochroną rodziców albo szkoły. Szkoły, w której pielęgniarce nie wolno nawet dziecka zbadać, sprawdzić, czy ma wszy; gdzie nawet w młodszych klasach nie można go przytulić, gdy ryczy, bo wyrżnęło główką o ławkę. Na to wszystko potrzebna jest zgoda rodziców na piśmie.

Wolno za to rodzicowi nakrzyczeć na nauczycielkę za to, że oceniła pisaną przez tatusia i sztuczną inteligencję pracę na 4 zamiast na 6.

Gdyby jednak belferska sitwa wciąż uważała, że czyjeś dziecko nie jest geniuszem, to wystarczy załatwić dowolne zaświadczenie o dysleksji, dysgrafii albo nawet dyskalkulii. I wtedy nauczyciele nie mają wyjścia. Muszą stawiać takiej latorośli wyłącznie piątki.

Intelektualiści od burgera

Bycie rodzicem dziś jest proste. Nie trzeba dziecka uczyć wiązać butów, bo są rzepy. Małolat nic nie musi robić w domu, bo popsuje albo się zmęczy. Prowadza się go do szkoły nawet do szóstej klasy, żeby nic w niego nie wjechało na osiedlowej uliczce. No i urządzać trzeba dziecięciu urodziny. Żeby się integrowało z innymi. Oczywiście w obecności dorosłych. I to do 17. roku życia. Rozwój osobisty dziecka to zajęcia z baletu albo karate, dodatkowy język i basen. Żeby tylko nie szwendało się samopas po jakimś placu zabaw. Dzięki temu dzieci dzisiejsze dzieci są kalekami tak fizycznie, jak i społecznie.

Dzięki współczesnym nauczycielom i rodzicom do szkół z maturą idzie 90 proc. dzieciaków, a nie jak kiedyś ledwie 30. Studia kończy co drugi, a nie jak niegdyś – co 12. Przez to na rynku pracy pojawiła się armia ludzi z dyplomami. Pracodawcy to doceniają, bo takie osoby idealnie nadają się do wykonywania skomplikowanych operacji na kasie fiskalnej, montowania kanapek w fast foodach albo wklepywania danych w korporacjach.

Rodzice też są z takiego obrotu sprawy zadowoleni. Mają dzieci tak długo, jak chcą. Według Eurostatu odsetek osób w wieku 25–34 lat, które mieszkają z rodzicami, wynosi niemal 53 proc. i systematycznie rośnie. Nie tylko dlatego, że tak jest taniej. Mamusia ugotuje, upierze i posprząta przecież oraz da kasę. Tatuś zresztą też. Oboje zaś powiedzą: po co ci praca, masz jeszcze czas, my ci pomożemy. Jesteś przecież naszym oczkiem w głowie.

Statystyka psychiatryczna pokazuje, że co czwarty Polak cierpiał co najmniej raz w życiu na jakieś zaburzenie psychiczne, a niemal 8 proc. w ostatnim roku. Chorujemy najczęściej na zaburzenia nerwicowe. Depresji doświadcza przynajmniej 4 mln z nas.

Wszystkie te zaburzenia w rocznikach po 1980 r. występują kilkakrotnie częściej niż u osób urodzonych w głębokim PRL-u. Tych z kluczami na szyi, biegających samotnie od małego w deszczu i mrozie do i ze szkoły. Takiej, w której jeszcze nie rządzili rodzice.

TADEUSZ JASIŃSKI

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ Dariusz Górczyński, właściciel pralni ze Słupcy, zdobył kontrakt Ministerstwa Obrony Narodowej na pranie ubrań dla amerykańskich żołnierzy stacjonujących w Powidzu. 6 mln zł. Pralnia wykonała usługę, wystawiła fakturę. Wojsko odmówiło zapłaty, powołując się na wewnętrzną interpretację umowy... przeprowadzoną przez stronę amerykańską. W efekcie Górczyński został z długiem. Żeby walczyć w sądzie z US Army i Wojskiem Polskim, musi wpłacić 250 tys. zł opłaty od pozwu, których, rzecz jasna, nie ma. To chyba najlepsze podsumowanie polsko-amerykańskiej współpracy militarnej: marines zamawiają pranie swoich gaci, za co odpowiedzialność bierze polska siła zbrojna. Jankesi nie płacą, a przeciętny polski właściciel pralni zostaje z długiem i pytaniem o sens sojuszu.

▮ Koniec z kosami, kłonicami i kozikami! Teraz Polak zabijać może kulturalnie, z broni palnej, legalnej! Ponad 320 tys. obywateli ma pozwolenie na broń i prawie milion śmiercionośnych zabawek. Dodajmy do tego kolejne pół miliona czarnoprochowców, które można kupić bez zbędnych formalności. Strzelectwo sportowe kwitnie, legalne posiadanie broni jest w modzie. Polska z kraju pacyfistów zamienia się w Dziki Zachód. Oby tylko ta cała broń nie poszła w ruch, bo inaczej będziemy mieli nie tylko strzelaninę sportową, ale i narodową rzeź. Postęp, że strach się bać.

▮ Raport Najwyższej Izby Kontroli ujawnia poważne nieprawidłowości w oznakowaniu dróg publicznych. Chaos informacyjny, źle ustawione znaki i zalew reklam realnie zagrażają bezpieczeństwu. Kontrolerzy jako przykład podają warszawskie rondo Zgrupowania AK „Radosław", gdzie doliczono się 147 znaków drogowych. W ciągu dwóch lat doszło tam do 200 wypadków i kolizji. Niestety, Rafał Trzaskowski nie miał szczęścia do współpracowników – żeby nie wspomnieć o niejakiej Wioletcie Paprockiej. No cóż, jak ktoś nie odróżnia idioty od geniusza, to prezydentem nie zostaje. Dziś to jeszcze proroctwa. Ale poniedziałek nadciąga.

▮ Przed białostockim sądem rozpoczął się proces przeciwko domniemanym uczestnikom nielegalnych wyścigów samochodowych. Oskarżeni mieli pędzić obwodnicą miasta z prędkością 300 km/h – niektórzy bez prawa jazdy. Obrona kwestionuje opinię biegłych, którzy tę szokującą prędkość wyliczyli na podstawie nagrania wrzuconego do internetu. Adwokaci twierdzą, że ekspertyza jest „chaotyczna", bo robiona z nadmierną prędkością (z braku czasu u biegłych). Dodają, że według danych producentów żaden z tych samochodów nie jest w stanie osiągnąć takich wyników. No jasne – zwłaszcza w Białymstoku, gdzie ja sam jadę 30 na godzinę i już wszyscy trąbią, jakbym sprintem leciał do toalety.

▮ Jeżeli chodzi o zwycięzcę telewizyjnej debaty prezydenckiej, to jest nim zdecydowanie red. Jacek Prusinowski z „Super Expressu". Szkoda, że nie kandyduje.

▮ Kampinoski Park Narodowy przypomina: psy won! A właściciele psów – tym bardziej! Bo pies, nawet ten najłagodniejszy, to dla kampinoskiej zwierzyny demon, ptakopłosz i burzyciel ekosystemu. Jelenie, sarny, zające, a nawet dziki na widok psa odchodzą od zmysłów i wpadają w panikę. Uciekając w popłochu, potrafią roztrzaskać się o drzewa. Zakaz wprowadzania psów to obowiązujące prawo – za jego złamanie grozi mandat. I, kto wie, może nawet wścieklizna. W Kampinosie rządzi przyroda (dzika), nie psy (oswojone) – grzmi dyrekcja KPN.

▮ Jesteśmy dumni z obecności Michelina na Warmii i Mazurach – ogłosił minister rozwoju i technologii Krzysztof Paszyk, dziękując Francuzom za to, że łaskawie wrzucą kolejny miliard złotych w produkcję opon w Olsztynie. Rok 2025 to przecież skromne 30-lecie obecności Michelina i 60 lat istnienia fabryki. Kiedyś dumnie nazywała się Stomil, kiedy zakup opony do Malucha był wydarzeniem porównywalnym z chrzcinami albo adopcją psa. A teraz?

▮ Na krakowskim Rynku podczas Kiermaszu Rzemiosła można było nie tylko podziwiać lokalną gastronomię ale i posmakować potraw. Ceny? Żurek lub zupa grochowa – 30 zł, kiełbasa w bułce – 50 zł, pajda chleba ze smalcem – 35 zł, a klasyczny oscypek –120 zł. Jedzenie znikało w zastraszającym tempie, co świadczy o znakomitej kondycji finansowej Krakowian i przedsiębiorców. Wszystko to zasługa ekonomicznej magii Mateusza Morawieckiego, który przez osiem lat prowadził gospodarkę tak skutecznie, że dziś kiełbasa za pięć dyszek to tylko dowód narodowego dobrobytu.

Rys. WIDGET

▮ Na terenie kopalni „Bełchatów", w Polu Szczerców, naukowcy z Wydziału Geologii i Biologii Uniwersytetu Warszawskiego, Instytutu Paleobiologii PAN, Muzeum Ziemi PAN oraz Morawskiego Muzeum Ziemnego (Czechy) natknęli się na szczątki Diplocynodona sprzed około 17 mln lat. Gdyby rozebrać tę nazwę na czynniki pierwsze: „diplo-" (gr. *diploos*) – „podwójny", „-cyno-" (gr. *kynos*) – „pies", „-odon" (gr. *odōn*) – „ząb", można by pomyśleć, że odkryli jakiegoś przedpotopowego jamnika. Pudło. Diplocynodon był aligatorem. Co oznacza, że pod Bełchatowem musiało kiedyś istnieć coś w rodzaju zoo. I nie chodzi o jakieś parki dinozaurów z plastiku.

▮ Na warszawskiej Woli strażnicy miejscy zdemaskowali mężczyzn podszywających się pod policjantów. Przy ul. Złotej, gdzie dwóch postawnych facetów w granatowych kurtkach, z opaskami z napisem „Policja" i słuchawkami w uszach, zaczepiało przechodniów. Na pytanie o legitymacje, jeden z nich wyjął paralizator i zaatakował strażnika. Nieskutecznie. Co tylko utwierdziło funkcjonariuszy w przekonaniu, że mają do czynienia z podróbką. Prawdziwa policja, jak już paraliżuje, to człowiek wyciąga kopyta. Fałszywych policjantów przekazano prawdziwej policji. Kiedy wspólnie wsiadali do radiowozów, byli ponoć nie do odróżnienia – zeznają świadkowie.

▮ W Zaborówku pod Warszawą elektryczny Opel przegrał walkę z drzewem. Pojazd spłonął doszczętnie. Kierowca też poniósł śmierć na miejscu. Drzewo, jak na złość, prawie całe i zdrowe. Biegli badają okoliczności, a my zastanawiamy się, jak to możliwe, że drewniane drzewo okazało się bardziej odporne na ogień niż nowoczesny samochód zrobiony z niepalnych blach i akumulatorów. Czyżby technologia poszła za daleko, a natura wciąż wiedziała lepiej?

RJ

PS Informacje zawarte w materiale pochodzą z lokalnych źródeł medialnych. Dokładamy starań, by prezentowane treści były rzetelne i wiarygodne, jednak nie możemy w pełni wykluczyć możliwości wystąpienia nieścisłości. W przypadku ewentualnych błędów prosimy o wyrozumiałość – nie ponosimy odpowiedzialności za ich treść, lecz pozostajemy otwarci na sprostowania i aktualizacje.

eprasa.pl fa494b6db0

Uniwersytecki strajk o żarcie

Jedna baba drugiej babie o bezczelnych studenciakach

Studenci to trudny materiał ludzki. Piją, palą, wałęsają się i mają oczekiwania. Mówiąc wprost, są roszczeniowi. Podczas gdy, tak szczerze, to darmozjady są. Żadną uczciwą pracą zająć się nie potrafią, czytają tylko książki i zajmują miejsca w autobusach. O, teraz na przykład, proszę pani, strajk sobie zorganizowali na Uniwersytecie Warszawskim. Bo chcą jeść. Tanio. Każdy chce jeść, proszę pani, a ci nie dość, że chcą jeść, to jeszcze, na dodatek, mało za to płacić. A niech se szczawiu nazbierają, że o mirabelkach nie wspomnę i sobie z tego zrobią różne potrawy, bardzo zdrowe zresztą. To nie, daj im stołówki, żeby im jeszcze uniwersytet to prowadził, brał za to odpowiedzialność, karmił i poił. A co to, uniwersytet to napis na dropsach jest, żeby tak go tyrpać w gównianych sprawach, takich jak kałdun studenta jednego z drugim? Skaranie boskie, proszę pani.

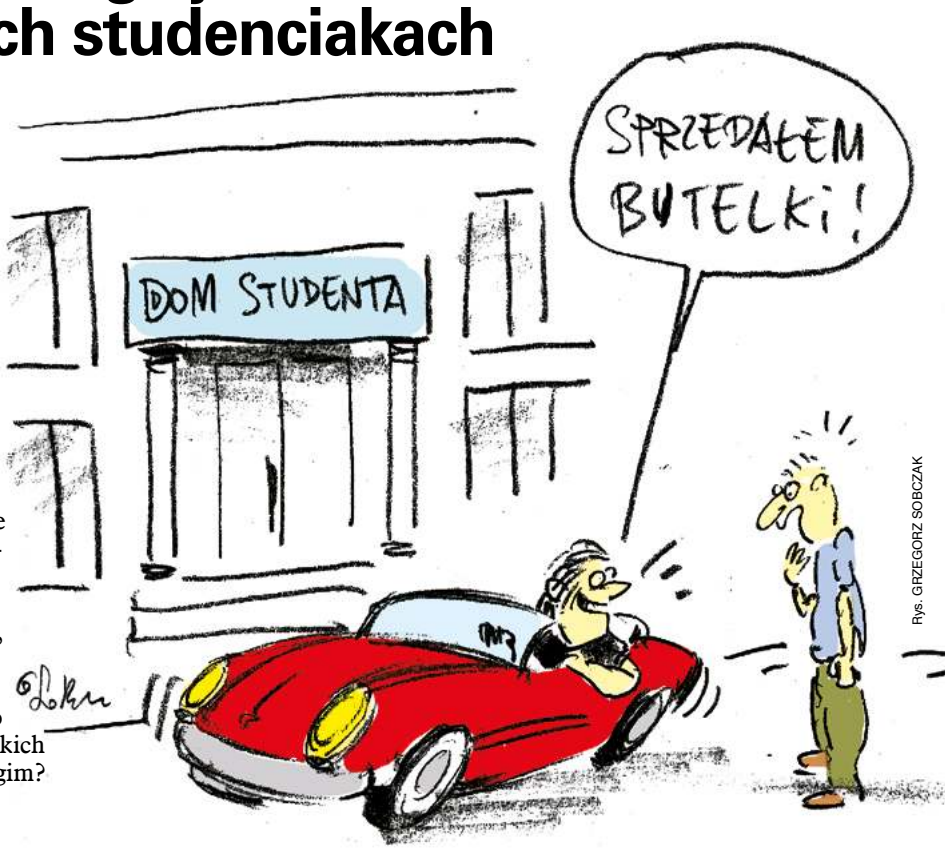

Rys. GRZEGORZ SOBCZAK

No więc rozpoczęli strajk. Na małym dziedzińcu Alma Mater tej całej bandy. Rozstawili tam namioty, jakby to pole było czy jeszcze gorzej. Już my wszyscy wiemy, co oni w tych namiotach robią. Mówią, że to dlatego, że do budynku samorządu studenckiego, gdzie ten, pożal się Boże, protest jest, wpuszczają tylko z legitymacją studencką. A ja pani powiem, że dobrze robią. Co to tak wpuszczać byle kogo do uniwersyteckich nieruchomości? Samorząd jest, to niech się samorządzą, a nie latają z plakatami.

Co gorsza, proszę pani, do tych wichrzycieli dołączają inni. Z całej Polski się zjechali. Widać mieli za co, a na pieniądze narzekają, to jak to jest? Do kieszeni trzeba im zajrzeć. Przyjechali z Uniwersytetu Łódzkiego, Jagiellońskiego czy Poznańskiego. Jak na wycieczkę. I co, mieli ich wpuszczać tak bez dania racji do budynków? Niech kiblują w namiotach.

A władze uczelniane dobrze zrobiły, że na noc zamykają budynek. A ci, co w tych namiotach, mówią, że nie mogą korzystać z toalety. A niech kroją do walizki czy innej reklamówki. Trzeba ich wziąć na przeczekanie. Zmęczą się, to zmądrzeją.

Z tymi stołówkami to naprawdę, wymyślili sobie jakieś głupoty. Wystarczy wyjść na Krakowskie Przedmieście, żeby zobaczyć, że na każdym kroku można coś zjeść. A to pyszną bułeczkę, a to bajgla, palce lizać. I niedużo kosztuje: 20–25 złotych za bułkę. No sama pani powie, czy tym nie można się najeść? Można oczywiście. A oni nie – żeby był obiad z dwóch dań za 17 złotych, tak jak jest na wciąż jeszcze istniejącej ostatniej stołówce na uniwersytecie. We łbach się przewraca, słowo daję.

I po co ta okupacja? Mają samorząd, to niech załatwia. Mówi się, że samorząd nie popiera tego protestu. O, i to jest odpowiedzialna postawa. Mniej szumu, więcej pracy, od dawna mówię.

Przychodzą i mówią, że kiedyś były na Krakowskim Przedmieściu bary mleczne i stołówki na uniwersytecie. Co oni gadają, to się w głowie nie mieści. Przecież mają jedną stołówkę na miejscu. Podobno druga taka sama jest w Krakowie. Wystarczy.

Ja to nie rozumiem, czemu do nich chodzi aż prorektor. Za duży zaszczyt dla gnojstwa, policja powinna się nimi zająć, a nie ludzie z tytułami naukowymi. Widać zresztą, że nic z tego dobrego nie będzie, bo oni eskalują. Pani popatrzy, przyjechali ci z Krakowa, co to narobili bałaganu na Uniwersytecie Jagiellońskim, gdy żądali (rozumie pani: żądali?!), żeby przywrócić do życia akademik na Kamionce. Warunki tak im się nie podobały. Brudno było i nieremontowane i że chcieli sprzedać. W Krakowie szybko to załatwili. Jak tylko zaczęli pyszczyć na Jego Magnificencję Pana Rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego, to ich zawiesili w prawach studenta. Można być świnią, ale trza mieć takt. Krzyczeć na Jego Magnificencję??? Zarzucać mu kłamstwo? Niedotrzymanie obietnic w sprawie remontu akademika? Nieprawda, że rektor nie dotrzymuje obietnic. On tylko musi mieć czas, by dogłębnie rozważyć wszystkie warianty. No to rozważa rok. To poważna decyzja, żadne tam fiku-miku, musi mieć czas. W Krakowie teraz ma być protest w obronie tych zawieszonych i przeciwko niedotrzymaniu porozumień sprzed roku. Niedoczekanie, tylko burdel robią. A te studenciaki z Warszawy też chcą jak tamci z Krakowa. Też coś mówią o akademikach. Eskalują. I żeby tanio było, bo ich nie stać. To niech do roboty idą. A jak nie starczy czasu na pogodzenie pracy z nauką, to niech idą na wieczorowe. No płatne, wiem, ale nic nie ma za darmo, a poza tym niech se znajdą dobrze płatną robotę. Zawsze też mogą wziąć kredyt studencki. Albo stypendium socjalne. Tak jest za Zachodzie. Pewnie, trzeba spłacać taki kredyt, a jak pani to sobie wyobraża? Pieniądze trzeba oddawać, skoro się wzięło.

Naprawdę, te ich opowieści, że jest drogo i nie mają za co żyć, to skandal jakiś jest. Jak się zachciało studiować, to trzeba się liczyć z wydatkami. Wszystko teraz musi kosztować, proszę pani. To i nauka musi kosztować. Jak coś jest bezpłatne, to jest do niczego. Oni mówią, że bezpłatna nauka jest zagwarantowana w konstytucji. No mówię pani, we łbach im się przewraca. To mało, że umią się podpisać i liczyć do 500? Wystarczy. Jak ktoś chce więcej, to niech płaci albo niech rodzice dają. Jak rodzice byli zaradni, to i dzieci takie będą. A reszta do roboty.

Na tym spotkaniu z prorektorem i samorządem studenckim to naprawdę serce rosło, jak człowiek słuchał tych z samorządu. Mówił, że jak chcą stołówki, to proszę bardzo, można taką zrobić, ale niech to ma każdy, kto chce i kogo na to stać, prywatny biznesmen też. Co on, gorszy?

No pewnie, że prywatny musi na tym zarobić, od tego jest biznes. A ci w swoją dutkę: że tym powinien zarządzać uniwersytet, a stołówka ma być nienastawiona na zysk i służyć całej społeczności studenckiej. Jasne, najlepiej, żeby im za darmo żryć dawali.

Jezu, jakie one niekumate są, te studenty dzisiejsze!

Narzekają, że mają małe poparcie wśród pracowników naukowych, bo uniwersytet stał się strukturą zhierarchizowaną. No a jaką ma być? Że wszyscy w jednej stołówce, wszyscy tacy sami. Profesor czy profesorka harowali przez całe swoje życie, żeby dzisiaj być tym, kim są. Taki student to dla nich nikt. I dobrze.

Mówię pani, byłam tam u nich, żeby zobaczyć i żeby może im do rozumu przemówić. Ale to na nic. Nie słuchają doświadczonego człowieka. Nawet jeść bym im dała, ale jak posłuchałam, to co to, to nie! Niech sami sobie zorganizują. Nie ma posłuchu, nie ma jedzenia.

Okazało się na miejscu, że oni jakieś postulaty nawet przedstawili. Pani kochana, to się w głowie nie mieści: chcą cofnięcia zawieszeń wobec tych wichrzycieli z Krakowa. I jeszcze potępienia tych, jak mówią, „represji". Oni chyba nie wiedzą, co to represje. Jakby strzelali, o, to może byłyby represje, a tak… śmiechu warte. Chcą, żeby otworzyli stołówki. Trzy, całe trzy! Chcą przedstawienia planów budowy nowych domów studenckich. I jeszcze pewnie by chcieli, żeby tam było tanio. Na dodatek czepiają się jeszcze ministerstwa, żeby utworzyło fundusz celowy na budowę stołówek w całym kraju. Mi-ni-ste-rstwo, wyobraża to sobie pani???

Jak mój brat w latach 80. próbował studiować (potem mu się znudziło) i strajkował w NZS, to mówił w domu, że chodzi o wolność, demokrację i kapitalizm. No to teraz mają. I czego to się skarżyć?

MACIEJ WIŚNIOWSKI

Bogaty jak kanar

Obrazek z Łodzi

Jeśli narzekacie na swoje zarobki i chcecie się legalnie dorobić, to czeka na was wysoko płatna praca – kontroler biletów w łódzkim MPK. Wymagania: trzeba dążyć po trupach do celu.

W wielkich miastach z pierwszej ligi, jak Warszawa, Wrocław czy Kraków, toczą się spory miłośników komunikacji miejskiej i użytkowników aut. Centrolewicowi (Co to takiego? Lewica mieszkająca w centrum…) mieszczanie o progresywnych poglądach ścierają się z indywidualistycznie nastawioną ludową prawicą w postaci kierowców. Mniejsza o racje; są to jednak ośrodki, w których – co by nie mówić – komunikacja działa solidnie, więc spora część ludności nie ma potrzeby posiadania samochodu. A w Łodzi, tym naszym polskim Detroit, bez auta nie da się funkcjonować. Z autobusów i tramwajów korzystają zaś ci, co muszą. Tam komunikacja miejska jest nie tylko środkiem transportu. Jest areną: miejscem starć, napięć i narastającego gniewu. A wszystko to w rytmie opóźnień, przesiadek i awantur z kanarami. Mieszkańcy są coraz bardziej sfrustrowani, a MPK – jak się wydaje – coraz bardziej głuche na głosy swoich klientów.

MPK zawodzi coraz częściej. Przystanki, na których czeka się kilkanaście minut tylko po to, by wsiąść do przepełnionego pojazdu bez klimatyzacji, to codzienność. Chaos informacyjny, nieczytelne rozkłady, przesiadki, które „w teorii" działają – wszystko to składa się na obraz systemu, który bardziej przypomina loterię niż miejską infrastrukturę.

Ale nie tylko rozkłady jazdy, nędzna infrastruktura czy braki kadrowe są problemem. Na pierwszy plan wysuwają się kontrolerzy – kanary – których obecność wywołuje dziś w łódzkich tramwajach i autobusach sporo strachu. I nie chodzi o samą kontrolę. Chodzi o sposób jej prowadzenia – często agresywny, napastliwy, wręcz upokarzający.

W mediach społecznościowych roi się od relacji pasażerów, którzy zostali zatrzymani przez kontrolerów mimo ważnego biletu, bo nie zdążyli go „aktywować" w aplikacji. Albo zostali potraktowani jak przestępcy za pomyłkę w systemie, który sam w sobie bywa niejasny. Przypadki wyciągania ludzi z pojazdów, gróźb mandatu czy odmowy tłumaczeń nie są jednostkowe. Trudno nie odnieść wrażenia, że część kontrolerów traktuje swoją pracę jak polowanie, a nie jak usługę.

Oto dość drastyczny przykład, który opisała łódzka „Wyborcza": pasażerka, starsza pani, podczas kontroli biletów straciła przytomność. Zamiast zadzwonić po karetkę, kontrolerzy posadzili „śpiącą" na przystanku, a gdy ją ocucono zauważyła w kieszeni „prezent" – mandat.

Skąd jednak ten wysyp awantur?

System wynagradzania w MPK Łódź sprawia, że im więcej mandatów, tym grubszy portfel kontrolera. Prowizje od opłat dodatkowych mogą sięgać nawet 50 proc. wartości mandatu, co przy karze 508 zł daje 254 zł do kieszeni kanara.

Nic dziwnego, że niektórzy kontrolerzy zarabiają więcej niż prezes MPK czy przewodniczący rady miejskiej. Mowa o co najmniej kilkunastu tysiącach złotych miesięcznie.

Ten system prowizyjny zachęca do polowania na pasażerów, a nie do rzetelnej kontroli. Kontrolerzy często rozpoczynają kontrolę natychmiast po wejściu do pojazdu, uniemożliwiając skasowanie biletu. W efekcie pasażerowie są karani nie za brak biletu, ale za brak refleksu.

MPK twierdzi, że nie ma narzuconych norm mandatów, a prowizje przysługują tylko za uregulowane opłaty dodatkowe. Jednak w praktyce kontrolerzy wiedzą, że im więcej mandatów, tym lepiej dla ich portfela. Większość przyłapanych bowiem grzecznie płaci, a do sądu idą nieliczni.

System wynagradzania kontrolerów w Łodzi premiuje nadużycia. Pasażerowie stają się ofiarami tego chorego układu, a MPK i rządzący mają to, jak zwykle, w dupie. Oni przecież jeżdżą autami.

DD

Rys. OBYWATEL JANEK

eprasa.pl fa494b6db0

SŁOWO CZERWONE

Obrońmy Europę

Zagrażają jej naziole, nie imigranci

W wyjątkowym akcie internacjonalizmu amerykańska Partia Demokratyczna włączyła się w kampanię Rafała Trzaskowskiego, wspierając swymi dolarami spoty zachęcające, by na niego głosować. Kampania była podobno profrekwencyjna, ale wyraźnie zniechęcała do poparcia Karola Nawrockiego. Pod pozorem obiektywizmu dość nachalnie namawiano do poparcia człowieka Donalda Tuska. W odpowiedzi republikanie głośno dopytują się o niedozwolone finansowanie kampanii kandydata PO przez demokratów, a równocześnie możemy oglądać wspólne zdjęcie Trumpa i Nawrockiego na finiszu kampanii. I tak nasze wybory prezydenckie są rozgrywane między obu amerykańskimi partiami.

Trump i Musk mieszają się w wybory nie tylko w Polsce, ale w całej Unii. Chodzi im o to, żeby Unię rozbić, a przynajmniej osłabić. Dlatego poparcie idzie dla partii, które najmocniej krytykują Brukselę; dla sił politycznych dość nacjonalistycznych i ksenofobicznych, by dążyć do wyjścia z UE.

Sęk w tym, że nacjonaliści popierani przez USA często mają sprzeczne interesy. Bezwarunkowe poparcie Muska dla Alternatywy dla Niemiec, najbardziej antypolskiej partii niemieckiej, jego oświadczenie, że powinni zapomnieć o niemieckich zbrodniach z II wojny światowej – jest kompletnie sprzeczne z żądaniem reparacji, powtarzanym przez polską prawicę, którą przecież Waszyngton również wspiera. I choć PiS, póki co, z niemiecką skrajną prawicą nie romansuje – to jego potencjalny sojusznik Konfederacja i owszem.

PiS jest jednak dla amerykańskiej prawicy o tyle interesujący, że uprawia politykę szczucia na Niemcy jako wroga Polski, jeszcze groźniejszego niż Rosja. Konflikt między Polską a Niemcami, generowany przez PiS, może zachwiać konstrukcją europejską, której Niemcy są jednym z głównych filarów.

Unię rozbijają Amerykanie, stawiając na siły eurosceptyczne – ale także Rosja, która podsyła uchodźców z Białorusi. I choć wielkość tej – znacznie już dziś ograniczonej – migracji nie jest jeszcze niepokojąca, to wystarcza, żeby generować antyimigracyjną histerię. A trzeba pamiętać, że właśnie taka histeria doprowadziła do brexitu.

O sile strachu przed obcymi świadczy sondaż, z którego wynika, że większość polskiego społeczeństwa zaakceptuje zniesienie układu z Schengen – czyli zamknięcie granic – byle ograniczyć napływ obcych.

To właśnie wędrówka ludów wywołana biedą, wojnami, dyktaturami (jak choćby talibowie) i kryzysem klimatycznym może stać się przyczyną rozpadu Unii Europejskiej. W ten sposób Stanom ubędzie konkurent na światowych rynkach, a nam przybędzie kłopotów.

Nielegalne przekroczenie granicy czyni z ludzi pochodzących z innych kręgów kulturowych śmiertelne zagrożenie – przynajmniej w oczach prawicowych mediów. Choć z danych policyjnych wynika, że obcokrajowcy popełniają statystycznie o wiele mniej przestępstw niż Polacy.

Oliwy do ognia dolewają Niemcy, którzy w obawie przed radykalizacją nastrojów i wzrostem wpływów AFD demonstracyjnie odwożą nam emigrantów, o których twierdzą, że ich celem jest Polska. Oficjalnie takich osób jest 12 tys., a Tusk się chwali, że ich odsyła z powrotem do Niemiec. Jednak Telewizja Republika w to nie wierzy. Uważa, że Tusk zawsze kłamie. Szczególną uwagę redaktorów prawicowego medium przyciągnął jakiś Somalijczyk, który nadciągnął do Niemiec ze Szwajcarii, a Niemcy i tak nam go wtrynili. A przecież to może być fajny gość, a nie żadne wielkie zagrożenie. Wystarczyłoby, gdyby jakieś media przeprowadziły z nim serię wywiadów. Bo boimy się przede wszystkim tego, czego nie znamy.

Rys. PAWEŁ KUCZYŃSKI

Choć ludzi z krajów, z których migracja do Polski jest największa, znamy – bo duża ich liczba przebywa u nas legalnie. Na Filipinach polska wiza kosztuje 2 tys. zł. Kosztuje teraz i tyle samo kosztowała za PiS-u. Ogółem ludzi, którzy zalegalizowali w naszym kraju swój pobyt, jest nieskończenie więcej niż tych nielegalnych.

Kiedy dzięki jakimś normalnym mediom dowiemy się więcej o nielegalnym Somalijczyku – jakie ma zainteresowania, hobby, ile ma dzieci, jak się nazywa jego żona, jaki ma zawód – przestaniemy się go bać. Przestanie być przerażającym „czarnym ludem". Odczarowanie uchodźców pozwoli powstrzymać brunatną falę zagrażającą Unii Europejskiej – wciąż będącej najlepszym miejscem do życia, do którego tylu biedaków chce przyjechać.

Zahamowanie wędrówki ludów jest możliwe poprzez pomoc ekonomiczną i cywilizacyjną krajom globalnego Południa. Od nas zależy, czy udzielimy tej pomocy na miejscu u nich, czy zaczekamy, aż do nas przyjadą.

80 proc. mieszkańców Afryki nie ma dostępu do energii elektrycznej. Wystarczy niewielki transfer technologii pozyskiwania energii ze słońca, aby Afrykę rozświetlić. To o wiele lepszy sposób niż push backi i zawracanie łodzi pełnych ludzi na pełnym morzu.

PIOTR IKONOWICZ

Trumpolandia

Trumpowy kongres przegłosował ustawę o nazwie „Jedna wielka piękna ustawa". I nie, nie żartuję, tak się nazywa: „One Big Beautiful Bill Act". Piękno tej ustawy w oczach Trumpa polega na olbrzymich cięciach podatków dla bogatych. Ustawa daje np. 235 mld dol. ulgi podatkowej grupie 0,02 proc. najbogatszych, zwalniając z podatku spadkowego pary dziedziczące nieruchomości warte do 30 mln dolków. Ale nie jest tak, że ulgi są adresowane tylko do miliarderów: jeden z przepisów ustawy likwiduje 200 dol. opłaty rejestracyjnej za tłumiki do pistoletów. Dla równowagi Kongres ściął wydatki zbędne, np. 700 mld dol. z systemu opieki zdrowotnej Medicaid, co oznacza m.in. wyrzucenie z programu 7 mln Amerykanów z niepełnosprawnościami. Z programu bonów żywnościowych SNAP trumpiści zabrali 92 mld dolków, pozbawiając prawa do pomocy żywnościowej 3,2 mln osób. Jak obliczyło Laboratorium Budżetu Uniwersytetu Yale, najuboższe 20 proc. gospodarstw domowych – z dochodami poniżej 14 tys. dol. rocznie – straci koło 800 dolków rocznie. Za to 20 proc. najbogatszych – zarabiających ponad 128 tys. – zyska 9,7 tys. dol. 1 proc. najbogatszych zarobi po 63 tys. dolków rocznie.

Sekretarz obrony Peter Hegseth oficjalnie, w imieniu USA, przyjął skromny prezent dla Lidera Wolnego Świata od emira Kataru: samolot Boeing 747, który ma zastąpić dotychczasowy Air Force One. Co prawda konstytucja USA wprost zabrania prezydentowi i wysokim urzędnikom przyjmowania prezentów od obcych rządów – ale Trump mówi, że prezent nie jest dla niego, lecz dla USA, i tylko tak się składa, że po zakończeniu jego kadencji przejdzie na stan jego biblioteki (odchodzący prezydenci USA mają zwyczaj budować biblioteki swojego imienia). Gdyby dar był nowy, byłby wart 400 mln dolków, ale ten akurat jest z drugiej ręki, ma 13 lat, i choć w środku wygląda jak pałac, jego wartość wyceniana jest na 100–200 mln dol. Za to przystosowanie go do wymogów bezpieczeństwa, związanych z transportem prezydenta USA, może kosztować koło miliarda. To wszystko nie zniechęca Trumpa, który bardzo oburzył się, gdy dziennikarze go o to zapytali: „Mógłbym być głupkiem i powiedzieć: Och, nie, nie chcemy darmowego samolotu". I dodał: „To bardzo bardzo miły gest ze strony Kataru i nigdy nie będę kimś, kto odrzuca ofertę darmowego samolotu". W to akurat wierzymy bez zastrzeżeń.

Elon Musk i jego SpaceX jest faworytem w wyścigu o zlecenie na budowę Golden Dome – Złotej Kopuły – czyli zapowiedzianej przez Trumpa tarczy antyrakietowej. 175 dużych baniek to zresztą bardzo powściągliwy szacunek – Biuro Budżetowe Kongresu ocenia, że nowa zabawka Trumpa może kosztować 831 mld dol. Złota Kopuła będzie wzorowana na izraelskiej Żelaznej Kopule, ale – jak przyznał Donald – „jakoś tak Złota Kopuła brzmi mi lepiej". Specjaliści od systemów obronnych są zgodni, że żadna tarcza nie jest w stanie objąć całych Stanów, więc „będziemy musieli być selektywni" w wyborze chronionych obszarów. Prezydent specjalnie się tym nie przejął i ogłosił, że jego kopuła obejmie także Kanadę. Z tym że z pewnymi warunkami. „Powiedziałem Kanadzie, która bardzo chce być częścią naszego bajecznego systemu Złotej Kopuły, że będzie to kosztować 61 mld dol., jeśli pozostaną odrębnym, choć nierównym narodem, ale będzie kosztować ZERO DOLARÓW, jeśli staną się naszym ukochanym 51. stanem. Rozważają tę ofertę!" – ogłosił Trump na swoim portalu społecznościowym Truthsocial.

Trumpowa sekretarz bezpieczeństwa krajowego Kristi Noem zaszczyciła nas wizytą w Jasionce. Obiecała, że po zwycięstwie Nawrockiego „będziemy błogosławieni amerykańską przyjaźnią" i nazwała Trzaskowskiego „socjalistą". W zeszłym tygodniu Noem zeznawała przed senatem USA na temat *habeas corpus*. Jakby ktoś nie wiedział: to szeroko stosowana w państwach prawa zasada mówiąca tyle, że człowiek pozbawiony wolności ma prawo domagać się sądowej kontroli tego pozbawienia. Inaczej mówiąc: chroniąca przed nielegalnym uwięzieniem. Doradca Białego Domu Stephen Miller ogłosił niedawno, że administracja „aktywnie przygląda się" możliwościom zawieszenia tej zasady. Zgodnie z amerykańską konstytucją jest to możliwe tylko w przypadku inwazji lub rebelii, więc senatorowie chcieli wiedzieć, co Miller miał na myśli. Demokratyczna senatorzyca Maggie Hassan zapytała sekretarzycę bezpieczeństwa: „Co to jest *habeas corpus*?". „*Habeas corpus* to konstytucyjne prawo, które ma prezydent, żeby móc usuwać ludzi z tego kraju i zawieszać ich prawa". A my się dziwimy, że pizda nie wie, co to jest „socjalista".

AWŁ

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

KAZACZOK Z CZOŁGAMI

☆ Po długiej rozmowie telefonicznej Donalda Trumpa z Władimirem Putinem, ocenionej przez obie strony jako niezwykle udana prezydent USA zapowiedział, że chce handlować z Rosją na wielką skalę, a rosyjski potencjał w zakresie tworzenia miejsc pracy i bogactwa jest nieograniczony. Następnie oznajmił: *Putinowi coś się stało. Zupełnie zwariował! Niepotrzebnie zabija wielu ludzi i nie mówię tylko o żołnierzach. Pociski i drony są wystrzeliwane do miast na Ukrainie bez żadnego powodu.* „Handel na wielką skalę" zastąpiły zaś informacje o planach nałożenia sankcji na Rosję. Mamy wrażenie, że istotnie jeden ze światowych przywódców zwariował, choć nie jesteśmy pewni, czy jest to Władimir Putin.

☆ Wydawałoby się, że po amerykańskich zapowiedziach siłowego przejęcia Grenlandii Dania będzie ostatnim państwem, które zaprosi jankeskich żołnierzy na swoje terytorium. Okazuje się, że 11 czerwca duński parlament ma zatwierdzić ich dziesięcioletnią obecność na terytorium Danii. Wedle sondażu opublikowanego przez duńską telewizję państwową, umowie sprzeciwia się 43 proc. Duńczyków, a popiera ją ledwie 28 proc. Jak informuje „Gazeta Wyborcza": *Żołnierze USA będą podlegać jurysdykcji swojego kraju* (…). *W praktyce oznacza to bezkarność albo minimalną odpowiedzialność sprawców przestępstw – nie tylko tych w mundurach amerykańskiej armii, ale również z prywatnych firm wojskowych, których również obejmuje umowa.* Duńscy prawnicy alarmują, że żołnierze amerykańscy będą mogli bezkarnie stosować przemoc wobec zwykłych obywateli, i proszą rząd, żeby w umowie znalazł się choćby zapis zakazujący stosowania przez Amerykanów tortur na terytorium Danii. Dodajmy, że amerykańscy żołnierze stacjonujący w Polsce także nie podlegają polskiej jurysdykcji.

☆ Tymczasem Bohdan Piętka na łamach „Przeglądu" relacjonuje ekshumacje ofiar ludobójstwa na Wołyniu: *Pod koniec kwietnia rozpoczęły się [w Puźnikach] prace ekshumacyjne* (…). *Były ambasador polski w Kijowie Bartosz Cichocki ujawnił, że jeden z postulatów strony ukraińskiej dotyczy wyłączenia z identyfikacji niemowląt i małych dzieci. To nie tylko zaniżyłoby liczbę ofiar, ale również zakłamało obraz zbrodni dokonanej przez OUN/UPA. W tym kontekście zrozumiała staje się wypowiedź ukraińskiego wiceministra, że nie można mówić o przyczynach śmierci ekshumowanych dzieci.* (…) *Z przecieków docierających ze strony ukraińskiej wynika, że ewentualne upamiętnienia polskich ofiar będą wyglądać tak jak dotychczas. To znaczy będzie dopuszczona co najwyżej formuła, że ofiary zginęły w „tragicznych okolicznościach". Zresztą w Janowej Dolinie (obecnie Bazaltowe) nawet na tyle nie było przyzwolenia. W 1998 r. strona ukraińska usunęła z pomnika ufundowanego tam przez rodziny ofiar datę „23 kwietnia 1943" i pozwoliła jedynie na napis „Pamięci Polaków z Janowej Doliny". Natomiast niedaleko odsłonięty został pomnik upamiętniający UPA, czyli sprawców zbrodni, z inskrypcją negującą zbrodnię w Janowej Dolinie (podano tam fałszywe daty 21–22 kwietnia 1943 r. i informację o likwidacji przez UPA „bazy polsko-niemieckich okupantów Wołynia").*

MAREK SANOWSKI
ukraina.tygodniknie@gmail.com

REKLAMA

eprasa.pl fa494b6db0

Dobrodziejstwo gminy

Pośmiertne długi obywateli spłacają bankom obywatele żywi

W mieście Szadek w 2012 r. zmarł tamtejszy proboszcz. Zostało po nim wspomnienie wiernych i ok. 400 tys. zł zadłużenia w kilku bankach. A że w Polsce obowiązuje reguła, że za długi księży po ich śmierci Kościół katolicki nie odpowiada, musi je spłacać gmina.

Dług nie umiera

Majątek osób duchownych – domy, mieszkania, samochody – to formalnie własność Kościoła, a księża mają prawo z tego majątku korzystać na mocy wewnętrznych kościelnych regulacji. Osoby duchowne mogą mieć jednak także swój majątek osobisty i swobodnie nim dysponować. Mogą też, jako osoby prywatne, zaciągać długi.

Na szczęście dla Szadka, ksiądz zostawił po sobie niewielką nieruchomość, którą gmina sprzedała i długi spłaciła. W ostatecznym rozrachunku dołożyła do tego interesu około 30 tys. zł. Musiała bowiem obniżyć cenę mieszkania, ponieważ nikt go nie chciał kupić. Udało się dopiero za trzecim razem.

Z powodu prawa, wedle którego gmina jest spadkobiercą, komornik zajął niemal pół miliona złotych na koncie gminy Białystok. Zmarł bowiem pan, który nie miał żadnych spadkobierców, ale długi – jak najbardziej.

Podobne problemy miał burmistrz Żerkowa. Gmina po śmierci jednego z miejscowych odziedziczyła wartą 1,7 mln zł rezydencję, ale z hipoteką i długami większymi niż wartość nieruchomości. Samorząd popłynął na około pół bańki.

A gdy pan Wiesław spod Lidzbarka Warmińskiego opuszczał ten łez padół, nie wiedział, że od tej chwili jego najbliższymi zostaną wójt i grupa gminnych urzędników. Oni też tego jeszcze nie wiedzieli. Dotarło to do nich po kilku miesiącach. Kiedy to listonosz przyniósł do urzędu postanowienia sądu o nabyciu przez gminę spadku i uprawomocnieniu tegoż postanowienia.

Dzień później poczta dostarczyła kolejne pismo – wezwanie do płacenia. Bo pan Wiesław zszedł był, mając do spłacenia kilkaset tysięcy. Dostał je na gospodarkę. Ale zanim je poinwestował, rozchorował się i kasa się rozeszła. Zostały stare sprzęty i chałupa, którą każdy inspektor budowlany kazałby opuścić.

Pan Wiesław miał co prawda siostrę i dzieci, te jednak w sądzie zrobiły coś, co po prawniczemu nazywa się odrzuceniem spadku. Dzięki takiemu zbiegowi okoliczności jedynym spadkobiercą pana Wiesława stała się „gmina ostatniego zamieszkania spadkodawcy".

Wójt z urzędnikami zaczęli mieć strupa. Wyrok sądowy z nakazem płatności obowiązywał. Na szczęście dla samorządowców okazało się, że zabudowania i trochę ziemi nie są „obarczone prawami osób trzecich". Mógł je sprzedać. Trwało to kolejnych kilka miesięcy, a kwota, którą wynegocjowano, nie opiewała nawet na jedną trzecią tego, co gmina oddała bankowi w ramach otrzymanego spadku.

Inwentarz ujemny

Zdawać by się mogło, że bank, w którym był zadłużony zmarły, wobec zjawiska tak ostatecznego jak śmierć winien dopisać jego zadłużenie do pozycji „straty". Nic z tych rzeczy jednak. Bank nigdy nie traci.

Dzięki ustawodawstwu przydającemu tej instytucji prawa boskie, nawet wtedy wszczyna postępowanie windykacyjne. Tak stanowią, od nowelizacji w roku 2003, przepisy Kodeksu cywilnego. I jak ktoś nie ma spadkobierców albo ma i odrzucą oni spadek, to to, co pozostało po zmarłym, z mocy ustawy przypada gminie. A gminie, nie dość, że spadku odrzucić nie wolno, to na dodatek przejmuje go „z dobrodziejstwem inwentarza". Co znaczy, że jeśli po zmarłym pozostały tylko długi, to samorząd lokalny je spłaca.

Co prawda w języku prawniczym „dobrodziejstwo inwentarza" oznacza, że za pozostawione długi odpowiada się jedynie do wysokości wartości pozostawionego spadku, ale nie z bankami takie numery.

Za Zieloną Górą w kilkunastotysięcznym miasteczku mieszkał sobie pan Józef. Nie był stary. Nie przekroczył nawet pięćdziesiątki. Tyle że dopadł go rak. Pan Józef oprócz raka miał również mieszkanie na kredyt. I miał je spłacać jeszcze przez niemal dwie dekady, ale wraz z postępem choroby spłacać przestał.

Bank pofatygował się doń i umowę kredytu wypowiedział. A ponieważ był ludzkim bankiem z dużą świadomością prawną, to niespłacanego mieszkanie nie przejął i pana Józefa w stanie agonalnym na bruku nie zostawił. Poczekał.

I jak kredytobiorca wyzionął ducha, to urzędnicy bankowi, zamiast w zgodzie z prawem przejąć mieszkanie, odczekali na sprawę spadkową, która z powodu braku spadkobierców skończyć musiała się wiadomo czym. Gdy postanowienie się uprawomocniło, wyskrobali do gminy pismo o spłacenie długu. Dla banku to przecież łatwiejsze niż doprowadzenie nieruchomości do jakiego takiego stanu i szukanie kupca. Zakłada się zatem sprawę gminie i wysyła komornika, żeby z konta samorządu odebrał żywą gotówkę.

Na takie dictum podzielonogórski pan burmistrz nic poradzić nie mógł. Zrobił to, co z reguły robią wszyscy samorządowcy. Zapłacił. I to oczywiście z górką. Bowiem sąd kazał też becelować za opłaty sądowe, wycenę nieruchomości i wszystkie możliwe koszty administracyjne, z komorniczymi włącznie.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Burmistrzowie i wójtowie boją się stawać w szranki sądowe z bankami, wiedząc, że te zatrudniają najdroższe kancelarie prawnicze. Tyle że to rozumowanie jest głupie, bo wynagrodzenie dla drogich papug i tak płaci ten, komu każe to zrobić sąd. Czyli po rozprawie idzie na to kasa z budżetu samorządu.

Tak samo było i w tym przypadku. Pan burmistrz popłynął na kilkunastoletnim mieszkaniu bardziej, niż gdyby kupował takie samo od najdroższego dewelopera w okolicy.

Przyjaciele samorządności

Bo sądy otóż w sprawach spadkowych kasują wójtów, burmistrzów i prezydentów równo. Zaczyna się już na „dobrodziejstwie inwentarza" – czyli na czymś, co powinno być policzone, zanim zbierze się sąd. Po to, żeby gmina nie traciła publicznego szmalcu. Powinna bowiem oddać bankowi tylko tyle, ile jest wart pozostawiony przez nieboszczyka majątek. Ale gdzie tam!

Sądy stoją na stanowisku, że o wartości majątku spadkodawcy nie rozmawia się podczas postępowania przygotowawczego. W orzecznictwie obowiązuje zaś taki oto myk: „Ustalenie, czy istnieje spadek (majątek) pozwalający na zaspokojenie przypadającej od dłużnika należności, należy do postępowania egzekucyjnego".

Skutek jest taki, że sąd, nie mając pojęcia o proporcjach pomiędzy majątkiem a długiem, przychyla się do wniosku banku i każe gminie płacić. Prywatnemu bankowi z publicznego budżetu.

Nie dziwota zatem, że samorządy lokalne od lat interpelują, zgłaszają, piszą memoranda, a nawet petycje. I oczywiście kolejnych rządów tudzież większości parlamentarnych to nie rusza. Nic w tym dziwnego, bo ustawodawstwo polskie kocha banki i nie da im zrobić krzywdy.

Czy zatem w kraju, gdzie prawo jest pisane pod banki, mają szanse pomysły samorządowców gminnych domagających się wprowadzenia „możliwości odroczenia w czasie obowiązku spłaty wierzycieli spadku do czasu wyzbycia się majątku spadkowego – do wysokości faktycznie uzyskanej ze zbycia składników"? Czy będzie można pomóc samorządom tak, żeby nie odpowiadały całym majątkiem za długi spadkodawcy, ale tylko tym, co się uda ze spadku sprzedać?

Jasne, że nie. Tak samo jak bez szans jest postulowana przez samorządowców zasada, żeby spadek w postaci nieruchomości był przejmowany przez gminę, w której nieruchomość owa jest położona. Bo przejażdżka urzędnika gminnego spod Jeleniej Góry do Suwałk, gdzie zadłużony nieboszczyk ma jedną siedemdziesiątą udziałów w mieszkaniu, to „ponoszenie przez gminę nieuzasadnionych i nieracjonalnych kosztów, pokrywanych ze środków publicznych". Ale żadna władza mająca gębę pełną opowieści o miłości do samorządności palcem w tej sprawie nie kiwnie.

TOMASZ BOROWIECKI

Życie w dobrobycie

● Żyjący w dobrobycie Polak nie lubi się zadłużać. Woli pożyczyć wiertarkę od sąsiada niż pieniądze od banku. A jednak prawie każdy z nas choć raz sięgnął po kredyt, pożyczkę albo gotówkę od znajomego. Z raportu „Portret finansowy Polaków" wynika, że ponad 60 proc. z nas miało kredyt ratalny, a co drugi – pożyczkę gotówkową. Bo choć co prawda unikamy kredytów jak ognia, ale 30 proc. naszego budżetu pochłaniają zakupy „dla przyjemności". Aż 14 proc. badanych przyznaje, że kupuje impulsywnie. Jak jest okazja – to trzeba. A potem się żałuje. Najbardziej szkoda nam pieniędzy na jedzenie w restauracjach. Na podium zbędnych wydatków wskoczyły też kosmetyczki, fryzjerzy i nowe buty. Mimo tego rozpasania zakupowego aż 90 proc. z nas twierdzi, że stara się coś odkładać. Na czarną godzinę, wakacje albo na ratę za coś, co się kupiło na skutek głupoty. Do tego dochodzą dzieci – prawie trzy czwarte Polaków wpisuje w budżet kieszonkowe, a potem łapie się za głowę, widząc swoje wydatki. I choć dzielimy się obowiązkami w domu, to nie zawsze po równo. Kobiety częściej robią zakupy, mężczyźni częściej dokładają się większą kwotą. Ale kiedy przychodzi do rozmów o kasie, to faceci są bardziej rozmowni. Kobiety zaś częściej zaniżają cenę nowej torebki. Ot, rodzinna gra w finansowego pokera.

● Która wcale nie jest tylko domeną indywidualnych Polaków. Mamy przecież państwo i jego budżet oraz rząd wyznający zasadę, że zadłużenie to problem tylko wtedy, gdy nie możesz go spłacić. Polska na razie może, więc zamiast panikować, Ministerstwo Finansów grzecznie ogłasza: mamy nowy rekord! Zadłużenie skarbu państwa na koniec kwietnia 2025 r. wyniosło skromne 1,75 bln zł i jeszcze 400 mln. To o 9,8 mld zł więcej niż miesiąc wcześniej. I w sumie tylko 0,6 proc. w górę. Czyli nic. Dług krajowy to 1,37 bln zł, zagraniczny – nieco mniej niż 380 mld. Ale to tylko dług skarbu państwa, czyli ten węższy. Szeroki, czyli ten prawdziwszy, znany jako dług EDP, obejmuje też długi zaciągnięte przez rozmaite agencje i fundusze, które państwo traktują jak żyranta. Dług EDP na koniec 2024 r. przekroczył już 2 bln zł. Bo od zawsze jako państwo żyjemy na kredyt. Tylko że zamiast brać chwilówki, bierzemy miliardy na rynku finansowym. Jednego miesiąca krajowe zadłużenie rośnie o 33 mld zł, drugiego spada zadłużenie zagraniczne o 2,5 mld zł – bo kurs się zmienił, bo ktoś kupił obligacje, bo Excel tak wyliczył. Ministerstwo Finansów informuje o tym, jakby mówiło o nowym menu w stołówce: „To są dane szacunkowe. Miłego dnia". A obywatel, który wziął pożyczkę na nową pralkę i czuje wyrzuty sumienia, niech wie, że państwo skrupułów nie ma wcale. Bo jakby co, to podniesie jakąś składkę czy podatek albo wymyśli całkiem nowy haracz.

● Obywatel znikąd sobie kasy nie ściągnie i dlatego szlag go trafia, że zaczyna się sezon ślubów, komunii i chrzcin. Nie dlatego, że obywatel nie lubi rodziny. Po prostu nie stać go na bycie gościem. Z badania IBRiS wynika, że aż 40 proc. Polaków zamierza odmówić zaproszenia na wesele. Co trzeci nie pojawi się na komunii, a 29 proc. ominie chrzciny. Najczęściej z zaproszeń rezygnują trzydziestolatkowie – 46 proc., ludzie przed emeryturą – 44 proc., mieszkańcy średnich miast – 44 proc. i co nader niezwykłe – wsi, gdzie tak ma 42 proc. populacji wieś zamieszkującej. Dla nich zaproszenie to nie zaszczyt, tylko wydatek, który zdemoluje budżet domowy. A ile kosztuje bycie „ciocią z Ameryki" na weselu? Najwięcej osób – 28 proc. – chce przeznaczyć na prezent między 401 a 750 zł. 24 proc. schodzi poniżej tego progu, a tylko 4 proc. myśli o kwocie powyżej 1500 zł. Z kolei chrzestne i komunijne koperty krążą głównie wokół 401–500 zł (18 proc.) i 201–400 zł (30 proc.). Krezusów, którzy myślą o tysiącu złotych, jest 1 proc. Co ciekawe, nie ma większego znaczenia, czy ktoś ma 18 lat, czy 60 – najczęściej pada ta sama kwota: do 750 zł. Ale już powyżej tej sumy skaczą mieszkańcy dużych miast i ludzie w średnim wieku, którzy – jak wiadomo – próbują udawać klasę średnią, nawet jeśli w portfelu zostały im już tylko punkty lojalnościowe.

● Rząd myśli o osobach zadłużonych i szykuje zmiany. Chce podniesienia wieku emerytalnego dla komorników i ich pomocników, czyli asesorów. Jeśli projekt ustawy przejdzie, to egzekutorzy długów będą mogli ścigać dłużników aż do siedemdziesiątki. Czyżby rządowe tabelki wskazywały, że długu w społeczeństwie będzie tyle, że zabraknie rąk do egzekucji? Oficjalnym powodem jest eliminacja dyskryminacji ze względu na wiek. Bo według Naczelnego Sądu Administracyjnego wywalanie komornika z roboty tylko dlatego, że skończył 65 lat, jest niezgodne z prawem unijnym. Nie dość jednak, że komornicy mają pracować dłużej, to asesorzy – dotychczas przywiązani do maksymalnie sześcioletniego stażu – będą mogli w nieskończoność uczyć się fachu. Rząd tłumaczy to „elastycznością w planowaniu kariery". A skoro państwo szykuje więcej ludzi do ściągania długów, to na pewno nie dlatego, żeby komornicy przymierali głodem. Może więc pora zacząć się bać?

● Ale jeszcze nie teraz, bo cuda się zdarzają. Jak ten w kopalni Bogdanka, która na wydobyciu węgla zarobiła. Po roku finansowej depresji, w którym zakończyła IV kwartał stratą rzędu 735 mln zł, pierwszy kwartał 2025 r. przyniósł jej niespodziewany zysk: 283,9 mln zł. Ale akcjonariusze zysku raczej nie zobaczą. Bo choć jest, to wystarczy go ledwie do pokrycia 1,5 mld zł straty z 2024 r. Bogdanka, która zatrudnia ponad 6 tys. ludzi, należy do kontrolowanej przez skarb państwa Enei, więc nic poza kopaniem węgla nie musi – a tym bardziej zarabiać.

● Zwłaszcza że zarabiać może tylko na sprzedaży drogiego węgla. Takiego, który będzie spalony w elektrowni. Zarabianie Bogdanki nie leży więc w interesie obywateli Rzeczypospolitej, bo 2024 r. megawatogodzina polskiego prądu kosztowała 96 euro – o prawie 70 proc. więcej niż we Francji, która węglem elektrowni nie opala. Skutki tej energetycznej drożyzny czuć w betonie. Cement, podstawowy składnik wszystkiego, co się buduje, drożeje. Dlaczego? Bo produkcja cementu zużywa mnóstwo prądu. Do tego dochodzą opłaty za emisję CO_2, obowiązkowe w UE, ale już nie w Turcji, Tunezji, Algierii czy na Ukrainie. A właśnie stamtąd zalewa nas fala taniego cementu. Tylko z Ukrainy w ciągu pięciu lat import wzrósł o blisko 3 tys. proc. Nie, to nie literówka – trzy tysiące. W 2024 r. sprowadziliśmy ponad 650 tys. ton, a na 2025 prognozy mówią już o milionie. Polski przemysł cementowy – trzeci ponoć w UE – ledwo zipie. Mamy 12 zakładów, które dają pracę bezpośrednio 4 tys. osób i pośrednio kolejnym 24 tys. Cementownie w Polsce zaczynają z wolna przebąkiwać o plajcie. W kraju, w którym cement potrzebny jest jak nigdy. Do budowy schronów, dróg dla czołgów i elektrowni jądrowych. Które jak nie powstaną, to taniego prądu dla cementowni nie będzie.

TTJ

eprasa.pl fa494b6db0

Najwyższa Izba Kontroli sług Najwyższego

Dane na tacy

Szymon Hołownia po wyborach nie ma najlepszej prasy ani perspektyw. Jeśli poza „Sejmfliksem" coś po nim w polskiej polityce zostanie, to będzie to raport NIK nt. finansowania Kościołów i związków wyznaniowych. Kto by pomyślał, że katalog wydatków na Kościół przygotują i przedstawią ludzie z tą instytucją mocno związani?

Marszałek Hołownia, dwukrotny nowicjusz w zakonie dominikanów, autor wielu książek o tematyce religijnej oraz związany z Opus Dei, nierozstający się z różańcem prezes NIK Marian Banaś – ten egzotyczny duet przygotował obszerne opracowanie kosztów związanych z działaniem funkcjonariuszy Pana Boga. Coraz dziwniejsze zwroty akcji w tej polskiej polityce. Po staremu zostaje zaś to, że raporty raportami, ale w praktyce niewiele się zmienia.

Siedemnaście i pół

NIK rozpisała tę symfonię o wydatkach na Kościoły na niemalże 400 stron. Dla kleru ma to tę zaletę, że mało kto całość przeczyta. Ale zawsze znajdą się tacy, co ową przydługą całość streszczą i opowiedzą ludziom.

Najważniejsza liczba to

17,5 – tyle mld zł wydano na Kościoły w latach 2021–2023. 16 mld zł przytulił z tego Kościół katolicki. Katecheci kosztowali nas w badanym okresie 6 mld zł. Są to głównie księża i zakonnice – Kościół dba o swój umundurowany personel.

Jak informuje „Polityka", w przyszłym roku nawet 11 tys. katechetów może stracić pracę w związku z redukcją godzin religii w szkole. Z roboty wywaleni zostaną głównie świeccy, bo to biskup decyduje, kto dostanie tzw. misję kanoniczną, czyli zostanie posłany do pracy w konkretnej szkole. W niektórych diecezjach księża już dostali przykaz pracy w szkołach, żeby mieli odprowadzane składki i ratowali kurczące się dochody. W związku z tym niesutannowi katecheci protestują – żądają, żeby religia lub etyka była obowiązkowa. Ale czy za ich niefrasobliwe wybory edukacyjne i zawodowe mamy płacić wszyscy?

Kancelaria parafialna

Kolejne 6 mld zł to różnorakie dotacje. Kontrolerzy szczegółowo rozpisali na resorty, kto ile komu dał i w jakich okolicznościach. Szczególnie rozrzutna była Kancelaria Premiera, która obdarowywała instytucje kościelne w trybie pozakonkursowym. Ponieważ były to czasy pandemii, wiele rzeczy działo się w trybie nadzwyczajnym i nikt tego nie sprawdzał.

Nie sprawdzał nikt, ale sprawdził NIK i wychodzi na to, że premier Morawiecki nie pozostał dłużny za dobro, które od ludzi Kościoła kat. otrzymał.

– Część oczywiście tych pieniędzy jest uzasadniona, ale jak słyszę, że pan premier Mateusz Morawiecki kilkaset milionów złotych przekazał na Kościół bez żadnych konkursów, no to wolałbym, żeby pan premier się z tego wytłumaczył – mówił Rafał Trzaskowski na konferencji prasowej pod Szczecinem w dniu publikacji raportu.

Może być o to trudno, bo dawno już byłego premiera nie widziano, chyba został schowany na czas kampanii. A spowiada to się on w kościele, bo w każdym jest mile widziany i pokuty dostaje lżejsze, niźli mógłby mu zaproponować prokurator.

Las krzyży

Szczególnym darczyńcą Kościoła były Lasy Państwowe, królestwo ziobrystów. Obok Funduszu Sprawiedliwości to właśnie Lasy stanowiły portfel ekipy byłego ministra sprawiedliwości.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Dawniej Solidarna, a potem Suwerenna Polska to bardziej ostentacyjnie bogobojna część Zjednoczonej Prawicy, która oddanie Kościołowi demonstrowała w wymierny finansowo sposób.

W raporcie czytamy, że „objęte kontrolą wydatki Państwowego Gospodarstwa Leśnego Lasy Państwowe 107 na darowizny dla kościołów i podmiotów z nimi związanych w ponad połowie (52,9% kwoty przekazanej) poniesione zostały z naruszeniem przepisów regulujących zasady gospodarki finansowej PGL LP".

A było tych darowizn ponad 8 mln zł, co stanowiło 10,2% środków wydzielonych na cele społecznie użyteczne z zysku nadleśnictw. Kasa została przepalona choćby na tak urocze drobiazgi jak: przekazany podczas ingresu nowego biskupa krzyż z parostków kozła (3,2 tys. zł), róża srebrno-bursztynowa i bursztynowy krzyż jubileuszowy (7,4 tys. zł), pamiątkowy ryngraf (29,5 tys. zł), szaty liturgiczne (2,4 tys. zł) oraz tzw. dary lasu (3 tys. zł) ofiarowane parafiom i instytutom życia konsekrowanego w trakcie pielgrzymek leśników.

Bezpłodne wzmożenie

– Mam nadzieję, że będzie to milowy krok w dyskusjach nad tym, jak poukładać relacje między państwem a Kościołem. Ten raport nie jest wymierzony w nikogo: ani w państwo, ani w Kościół. Mam nadzieję, że ten raport będzie początkiem merytorycznej rozmowy, opartej o liczby, a nie o ideologiczne okrzyki wznoszone raz na kilka lat w kampaniach wyborczych – powiedział Hołownia podczas konferencji prasowej, na której zaprezentował ów raport.

Rzeczywiście, raport nie jest wymierzony w nikogo, bo praktycznie nikt go nie zauważył w końcówce kampanii przed pierwszą turą wyborów prezydenckich. W większości mediów raport przepadł w zalewie informacji o kandydatach na strażnika żyrandola. Jedynie portal braci Karnowskich gorączkował się: „Marszałek sejmu, najwidoczniej w przypływie antyklerykalnego wzmożenia, wynikającego najpewniej z przebywania w jednej koalicji z liberałami i postkomunistami, zlecił NIK rok temu kontrolę dot. przepływów finansowych między państwem a związkami wyznaniowymi w latach 2021–2023". To antyklerykalne wzmożenie jest tak skuteczne, że choć jednym ze „stu konkretów" jest likwidacja Funduszu Kościelnego, ten hula sobie w najlepsze i dalej rośnie.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ ***Głosowanie na Rafała Trzaskowskiego należy ocenić jako przestępstwo wobec prawa Bożego. (…) Trzaskowski, proponując swobodę zabijania dzieci poczętych, w wyraźny sposób odrzuca oparcie stanowienia w Polsce prawa na ładzie naturalnym. Konsekwentnie musi szukać innego źródła; jeżeli nie będzie nim Bóg, stanie się nim ludzka wola. Ta nie zna jednak ograniczeń innych niż przemoc większości.*** (…) *Stąd głos na Trzaskowskiego jest głosem przeciwko Bogu i oddać go nie wolno.*

red. Paweł Chmielewski (PCh24.pl), X, 23 maja

■ *Spór nie toczy się o to, kto będzie sprawował władzę, jakie będzie prawo i podatki,* ***ale o sprawy bardziej fundamentalne, takie jak istnienie Polski, tożsamość narodu, model antropologiczny, rodzinę jako związek mężczyzny i kobiet oraz wybór między cywilizacją życia i śmierci.***

ks. Janusz Chyła, X, 19 maja

■ *„Pan Rydzyk" w ustach pana Trzaskowskiego* ***to albo świadectwo kompletnego braku obycia, albo zwyczajnego chamstwa.***

Łukasz Warzecha, X, 24 maja

■ *Edukacja w Polsce ma duchowo zagubioną osobę na stanowisku ministra.* ***Ponadto jest to kobieta o bardzo infantylnym poziomie kultury, który sporo czerpie ze stanów chrystianofobicznych i wzorców postkomunistycznych. Porażka.***

ks. Daniel Wachowiak, X, 20 maja

■ *Unikam zakupów w miejscach nieprzyjaznych Polsce i Kościołowi. Mimo że tam czasem można zrobić lepsze, np. tańsze, zakupy, dobrze zjeść itp.* ***Nie wiem jak Państwo, ale ja mam tak, że na widok nazw pewnych firm, twarzy, nazwisk – po prostu zawracam, wycofuję się, by nie przyczyniać się do większego wchodzenia w grzech osób czy firm, które uskuteczniają politykę antyewangeliczną oraz antypolską.***

ks. Marek Radomski, X, 19 maja

■ *Nauka Kościoła jest niezmienna.* ***Skonfrontujmy nasze poglądy z nauczaniem Kościoła. Kościół istnieje dłużej niż nasze państwo (…), dlatego trzeba zadać sobie kluczowe pytanie, czy jestem w stanie osąd mojego sumienia poddać nauczaniu społecznemu Kościoła, bo to papieże mieli rację i mają rację odnośnie tego, jak człowiek ma głosować (…).*** *Kierujmy się jednym sumieniem, nie dajmy sobie wydrzeć Polski.*

dr Artur Dąbrowski, prezes Akcji Katolickiej Archidiecezji Częstochowskiej, Radio Maryja, 21 maja

■ ***Dezercja od życia polskiego zawsze zaczyna się od słabości religijnej.*** (…) *Potem przychodzą inne dezercje, wraz z tą od przekazywania życia. Modląc się o wybór najlepszego człowieka na prezydenta RP, módlmy się jeszcze mocniej o łaskę Pana Boga dla naszych rodzin, a w sposób szczególny dla małżonków, aby mimo trudności i własnej słabości z nadzieją czynili dobro, również związane z przekazywaniem życia, wychowania go i doprowadzenia do pełni.* ***To jest nasz plan na Polskę.***

prof. Paweł Skrzydlewski, Radio Maryja, 16 maja

■ *Mądra władza potrafi dostrzec, że religia wychowuje obywateli.* ***Kierująca się ideologią – religię zwalcza.***

Dariusz Kwiecień (Stowarzyszenie Katechetów Świeckich), Opoka.org.pl, 20 maja

KLECHA

Bezjajeczne ambony

Polski kler stał się cieniem dawnego siebie

Dawniej wszystko było proste. Jak to niegdyś ujął emerytowany abepe Józef Michalik: „katolik ma obowiązek głosować na katolika, chrześcijanin na chrześcijanina, muzułmanin na muzułmanina, żyd na żyda, mason na masona, komunista na komunistę, każdy niech głosuje na tego, którego sumienie mu podpowiada". Księża nie mieli problemu z popieraniem konkretnych partii i kandydatów, a krytykę takiego postępowania ignorowano, zgodnie z zasadą prymasa Glempa, że „Kościół nie może odpowiadać na ujadanie podwórkowych kundelków".

Podwórkowych kundelków się namnożyło, ich ujadanie zaś stało się coraz głośniejsze. W obliczu hordy rozwrzeszczanych piesków nawet taki potwór jak episkopat czuje się zagrożony. Setki publikacji o agitacji w kościołach, także w czasie trwania ciszy wyborczej, przyniosły owoce: księża w odruchu Pawłowa gryzą się w język, zanim chlapną coś stricte politycznego. Oczywiście bywają wyjątki, ale gdzie im tam do weteranów sojuszu tronu z ołtarzem. Ci dzisiejsi to popłuczyny po takich tuzach jak Jankowski czy Rydzyk w czasach świetności. Choć klerykalizm wciąż przetrwał w prawodawstwie i budżecie, to nowe pokolenie duchownych trwoni bez trudu budowany po 1989 r. kapitał.

Jedynym znaczącym incydentem odnotowanym podczas tej kampanii jest treść ogłoszenia z parafii w Szczawie w diecezji tarnowskiej. Tamtejszy pleban pouczył parafian, że „chrześcijanin może z czystym sumieniem głosować tylko na kandydata, który nie deklaruje sprzeciwu wobec prawa Bożego. Na podstawie osobistych deklaracji obu kandydatów jedynym, który spełnia to kryterium, jest Karol Nawrocki". Kuria natychmiast pouczyła proboszcza, że tak się nie godzi, i ogłoszenie wyborcze zniknęło z gabloty. Wcześniej inny ksiądz, Jan Jóźwiak z Ciechanowa, doradzał Nawrockiemu podczas spotkania, żeby dał w mordę prof. Antoniemu Dudkowi, szkalującemu kandydata obywatelskiego w mediach.

– Radzę, żeby mu pan prawy prosty albo lewy wymierzył, jak pan go spotka – mówił krewki klecha, po czym tłumaczył, że to tylko taka metafora. Jak na tak rozemocjonowaną kampanię to duchowni zachowują się nader powściągliwie.

Ale zauważyć można nowy trend – odwrotu od dotychczasowych sojuszników. Oto bowiem dwóch medialnych jezuitów załamuje ręce nad… dobrym wynikiem Grzegorza Brauna, będącego wszak ucieleśnieniem snów prałata z Gdańska czy redemptorysty z Torunia.

Ksiądz i psychoterapeuta Jacek Prusak napisał w mediach społecznościowych, że „wynik Brauna to najwyższa porażka polskiego Kościoła. To naprawdę boli". Jego kolega z zakonu Grzegorz Kramer żalił się z kolei: „Gdy słyszę »Szczęść Boże« z ust Pana G., to za każdym razem mam wrażenie, że ktoś śmieje się z mojej wiary". Obaj panowie uchodzą za przedstawicieli tzw. Kościoła otwartego. Nurt ten wprawdzie nie przyjął się w Polsce, ale ma paru medialnych reprezentantów, którzy, jak widać, poczynają sobie coraz śmielej.

Nie spodobało się to oczywiście prawdziwym Polakom i katolikom, którzy w sukcesie Brauna widzą oznakę potrzeby powrotu do katolicyzmu średniowiecznego i walczącego. Tradycyjny katolik Grzegorz Braun zdobywając 6,4 proc. głosów, dał wielką nadzieję środowiskom typu „rycerze Chrystusa Króla" (wyznawcy Natanka) czy innym oszołomom, przy których Rydzyk jest synonimem liberalizmu.

Redaktor naczelny portalu PCh24.pl Krystian Kratiuk oburzył się na jezuitów, którzy oburzyli się na wynik Brauna.

– Braunowi udało się dotrzeć do takich Polaków, którymi gardzi ojciec Prusak. Ojciec Kramer wstydzi się za „szczęść Boże". Są to momenty, kiedy „Kościół otwarty" udowadnia, jak bardzo jest zamknięty. Zamknięty na kłódkę. To ludzie, którzy dużo chętniej rozmawialiby z kimś, kto chciałby mordowania dzieci nienarodzonych. Zresztą to szlachetne i dobre, żeby w ogóle z kimś takim rozmawiać, ale zamykają się na tych, którzy w inny niż oni sposób wyrażają swoje katolickie zapatrywania. Dla mnie to nie tylko haniebne i zawstydzające, ale przede wszystkim perfidne. I mówiąc potocznie, jest to zwykłe chamstwo – stwierdził w rozmowie z prawicowym Klubem Jagiellońskim. Przyklasnęło mu wielu jego kompanów ideowych, pomstujących nad brakiem *cojones* księży, którzy zamiast egzorcyzmować i ekskomunikować niekatolickich polityków, idą na kompromisy ze współczesnością.

Jako się rzekło na wstępie, kiedyś wszystko było prostsze: kler popierał nacjonalistów i antysemitów i nie było mu wstyd. A teraz, gdy ich już wychował i doprowadził do władzy, zaczyna się wypierać związków z nimi. Księdzu Prusakowi zalecamy mniej skromności: wynik Brauna to największe zwycięstwo polskiego Kościoła, a nie porażka. Sukcesami zaś należy się chwalić, a przy okazji w debacie publicznej zapanuje porządek.

MATT KOBOSKO

eprasa.pl fa494b6db0

Siłka wczoraj i dziś

Poznałem wielu ludzi w siłowniach, ale do pałacu prezydenckiego się nie wybieram.

Z siłownią spotkałem się już w latach 80. minionego wieku. Często zaglądałem do klubu przy ul. Dąbrówki na warszawskiej Saskiej Kępie. Herkules, bo o nim mowa, był na owe czasy fenomenem. To chyba była jedyna w pełni profesjonalna siłownia w Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej. Tak naprawdę o statusie prawnym Herkulesa nic nie wiem do dzisiaj. Formalnie był ogniskiem Towarzystwa Krzewienia Kultury Fizycznej, ale nikt nie wiedział, co tam jest społeczne, a co prywatne.

Herkules & Mercedes

W bogato wyposażonym gabinecie, za gdańskim biurkiem, urzędował prezes Stefan Mizieliński i on zarządzał wszystkim z zapałem właściciela. Ważny szczegół: podczas gdy my jeździliśmy Fiatami, Trabantami, Wartburgami i Polonezami, Stefan siadał za kierownicą wypasionego Mercedesa.

Po jaką cholerę zacząłem moim wiśniowym Fiatem 126 p jeździć do Herkulesa – prędko wyjaśniam. Wkraczałem w wiek, w którym zaczynały mi wiotczeć mięśnie, natomiast coraz wyraźniej uwidaczniał się okrągły brzuszek. Trzeba było wziąć się trochę za siebie.

Malucha parkowałem na ul. Dąbrówki w każde powszednie przedpołudnie, o ile tylko nie znajdowałem się w delegacji służbowej, co niestety zdarzało się często. W redakcji pracę zaczynaliśmy koło południa, więc przychodziłem do niej wytrenowany i zadowolony. Trwałoby to może do dziś, gdyby ustrój się nie zmienił.

W kapitalizmie przestałem być szeregowym dziennikarzem, zacząłem pełnić mniej lub bardziej kierownicze funkcje w różnych redakcjach. Stałem się, parafrazując postać z filmu Stanisława Barei „Poszukiwany, poszukiwana", z zawodu redaktorem naczelnym. Naprawdę brakowało mi czasu na pańskie fanaberie, więc mięśnie zwiotczały, a brzuch zaczął rosnąć tak, że przelał się przez pasek spodni, i to już zostało do dziś, mimo że na stare lata wróciłem do siłowni, na którą młodzież mówi „siłka".

Wracamy na siłownię przy ul. Dąbrówki. Ja ćwiczyłem dla własnej przyjemności, ale główną klientelę stanowili kulturyści. Bardzo mili i grzeczni młodzi ludzie. Chętnie pomagali mi w treningu, doradzali, jakie ciężary zakładać na sztangę, asekurowali, gdy istniała taka potrzeba, podpowiadali, ile powtórzeń wykonywać i w jakim tempie. Wyczuwałem wzajemną sympatię. Przed swoim występem w zawodach stawali się jednak małomówni i nie uśmiechali się, w czym nie ma niczego dziwnego, bo byli wściekle głodni. Aby rzeźba i definicja mięśni były należycie wyeksponowane, należało bardzo mało jeść (najwyżej kawałeczek piersi kurczaka przez dobę), być odwodnionym, a przed samym startem ciało wysmarować bejcą do drewna. To były – pozwolę sobie przypomnieć – siermiężne czasy komuny i w różnych dziedzinach stosowało się ersatze; na przykład, gdy jako młody chłopak grałem w piłkę ręczną, smarowaliśmy palce dłoni klejem ogrodniczym służącym do szczepienia drzewek owocowych. Profesjonalnych specyfików, podobnie jak ówcześni kulturyści, nie znaliśmy.

Krótko mówiąc, wszyscy pakerzy – przynajmniej ci z Warszawy – byli moimi kumplami i gdyby istniały wówczas smartfony, na pewno robiłbym sobie z nimi selfie. Niestety, czasu nie zawrócę, a moi kumple nie chodzą już po świecie. Nici z wspólnych fotografii.

Tak jak mnie przemiana ustrojowa pchnęła na nowe tory zawodowej kariery, podobnie stało się z moimi kumplami-kulturystami. Z dnia na dzień z nadmiernie umięśnionych, ale grzecznych i miłych chłopców stali się gangsterami. Później Klepak, Żaba, Cegła i inni wystrzelali się nawzajem.

Nie było tygodnia, żebym w najpopularniejszej wówczas popołudniówce, czyli „Exspressie Wieczornym", nie przeczytał, że straciłem koleżkę z siłowni.

Od sterydów do dragów

Gdybym jednak teraz wystartował w jakiejś kampanii wyborczej, dajmy na to na urząd prezydenta Najjaśniejszej, i konkurent przyparłby mnie do muru, że kolegowałem się z najgroźniejszymi bandytami, nie mógłbym się wykręcić. Twardo by pytał: „Czy dobrze znał się pan z Klepakiem, Żabą i Cegłą. Proszę odpowiedzieć tak lub nie". Mógłbym tylko spuścić oczy i wybąkać coś o tym, że pytanie zostało zadane w niewłaściwy sposób, a w ogóle to pomówmy może raczej o kupowaniu z bonifikatą mieszkania z puli komunalnej, należącego do starego, schorowanego sąsiada. Czytelnikom mogę się jednak przyznać, zawsze staram się być wobec nich uczciwy, że nie tylko znałem późniejszych najgroźniejszych gangsterów, ale uśmiechałem się do nich, bo – na swój sposób – ich lubiłem.

Z mojej opowieści siłownia lat 80. minionego wieku jawi się jak miejsce niewinnego treningu sportowego; jak romantyczny zakątek. Owszem, widziałem, że nie wszystko było takie różowe. W czasie chwilowych, jak nas zapewniano, niedoborów towarów na rynku był też Herkules miejscem, w którym załatwiano liczne interesy. Jeden miał dojście do wędlin, inny – do serów, a jeszcze inny – do czegoś tam. To ułatwiało życie. W tym nie było niczego złego, choć mój oponent w kampanii prezydenckiej wyciągnąłby i ten fakt przeciw mnie, bo przecież handlowałem z bandytami.

Gorzej, że w Herkulesie handlowano także odżywkami. Oficjalnie były to legalne odżywki proteinowe, sam przez jakiś czas w to wierzyłem, choć nie stosowałem, w rzeczywistości chodziło o sterydy. Bez sterydów anabolicznych i innego „koksu" mięśnie nie mają prawa rozrastać się do monstrualnych rozmiarów.

Specyfiki sprowadzano zza wschodniej granicy, gdzie kupowano za grosze, a u nas sprzedawano po bardzo wysokich cenach. Kupowali nie tylko kulturyści. Były to złote lata dopingu. Właściwie nikt tego nie kontrolował. Komisja do Zwalczania Dopingu w Sporcie powstała dopiero w 1988 r., ale jej uprawnienia i możliwości były bardzo ograniczone. Polska Agencja Antydopingowa (POLADA) powołana została w jej miejsce w 2017 r. i dopiero od tego czasu możemy mówić o w miarę skutecznym działaniu, bo współpracuje z policją, służbą celną i innymi organami.

Herkules był więc – użyjmy modnego zwrotu – hubem logistycznym, z którego rozprowadzano sportowy doping na cały kraj, a nawet na Zachód, bo w kapitalistycznych krajach sportowcy nie byli wcale tacy święci, jak sądzą niektórzy. To było niezłe ćwiczenie przed tym, gdy na rynku rozpowszechniły się narkotyki, a chłopcy z Herkulesa bez mrugnięcia okiem weszli w ten biznes, co przypłacili w końcu życiem. Handlowano czymś twardszym niż znany z debaty prezydenckiej snus, choć snus nikotynowy też jest w myśl naszego prawa nielegalny.

Kultura kibicowska

Droga od kulturystyki do bandyterki okazała się bardzo prosta. Mafie zaczęły od ściągania haraczy nie tylko od agencji towarzyskich, ale praktycznie od wszystkich. Czy ktoś mógł się do tego nadawać lepiej niż byczysko napakowane mięśniami i bez wyrazu inteligencji na twarzy? W dodatku mieli niejaką praktykę, bo wcześniej wynajmowano ich jako bramkarzy czy – mówiąc inaczej – wykidajłów w różnych klubach. Droga od bramkarza do bandyty jest usłana różami – prawda, panie Karolu?

W latach wczesnego kapitalizmu awansować można było błyskawicznie, więc moi grzeczni znajomi z sali ćwiczeń stali się członkami gangsterskiego establishmentu. Jak to w mafijnych organizacjach bywa, dochodziło do nepotyzmu. W „Expressie Wieczornym" przeczytałem, że oprócz znanego mi z Herkulesa Klepaka wysoko w przestępczej hierarchii jest Młody Klepak, którego zaszczytu poznania nie miałem. Obaj zginęli od rewolwerowej kuli.

O tym wszystkim już czytałem i słyszałem od znajomych. Zajęty otwieraniem pierwszego w III RP kolorowego czasopisma na zachodnim poziomie, „Sukcesu", nie miałem czasu na podtrzymywanie znajomości z ludźmi z Herkulesa. Może szkoda, bo mógłbym teraz wydać poradnik „Jak zostać bandytą?" i zarobiłbym na nim trochę pieniędzy, zawsze potrzebnych emerytowi.

Na stare lata znów ćwiczę na siłowni, ale nie w Herkulesie – nawet nie wiem, czy wciąż istnieje – lecz w Centrum Kompleksowej Rehabilitacji w Konstancinie-Jeziornie. Cztery razy w tygodniu realizuję zalecenie lekarskie, a Komisja ds. Orzekania o Niepełnosprawności stwierdziła, że gdyby nie systematyczność i staranność moich ćwiczeń, już dawno jeździłbym na wózku inwalidzkim. No, tam nie ma mowy o narkotykach, haraczach, ustawkach i innych działaniach, które rodzą się w niektórych konwencjonalnych „siłkach", zwłaszcza tych związanych ze sportami walki.

Z przerażeniem obserwuję narodziny i rozwój tzw. kultury kibicowskiej. Słowo „kultura" jest tu oczywiście zupełnie nie na miejscu, ale nie potrafię na poczekaniu wymyślić innego. Jest to bezmyślna dzicz, napędzana nienawiścią do ludzi – pozornie tylko tych noszących szaliki innego klubu piłkarskiego, ale w rzeczywistości do wszystkich wyróżniających się czymkolwiek.

Przykładów bandyckich zachowań mógłbym przytoczyć tysiące, każdy dzień przynosi nowe. Z tych najświeższych duże wrażenie zrobiła na mnie napaść osiłków na młodą dziewczynę, która siedziała na ławce w bluzie z emblematami krakowskiego klubu piłkarskiego. Uznali to za zniewagę dla „swojego" klubu, skopali ofiarę, zdarli z niej odzież, a później filmowali ją smartfonem leżącą na ziemi w samej bieliźnie. Oczywiście nie omieszkali się pochwalić tym w sieci. Jeszcze parę lat temu kibol nie śmiałby podnieść ręki na kobietę. Ale teraz? Kobieta, dziecko? Nie ma różnicy.

Kwintesencją kibolskich działań są ustawki, a zwłaszcza zasadzki. Ustawki to bójki, które przeniosły się z trybun stadionów w ustronne, wcześniej ustalone miejsca. Używane są kastety, maczety, pałki teleskopowe i inne tego rodzaju gadżety. Zasadzka to niespodziewana napaść na kiboli innej drużyny, na przykład przez zatrzymanie pociągu, którym jadą na mecz.

Trusiki toże

Czy już nigdy nie wróciłem do Herkulesa? Raz wróciłem. Kiedyś opowiedziałem na łamach „NIE" tę historyjkę, ale korci mnie, żeby na koniec zrobić to znowu, bo chyba jest zabawna, a przez lokalizację związana z głównym tematem.

W czasie gdy u nas ustrój się zmienił, a w ZSRR jeszcze trwał stary, niemal wszystkie prostytutki pracujące w agencjach towarzyskich były Rosjankami (Polki wyjechały na Zachód). Pewnego dnia przypadkowo spotkałem prezesa Stefana Mizielińskiego i powiedział mi, że w Herkulesie przyjmuje klientów znakomita rosyjska masażystka. Namówił mnie do zamówienia wizyty. Ciekawość wzięła górę.

Stefan zaprowadził mnie do małego, rozświetlonego tylko słabym czerwonym światłem pokoiku, na środku którego stał stół do masażu. Weszła przepiękna, tak jak przepiękne mogą być tylko Rosjanki, dziewczyna w obcisłym trykocie. Kazała mi się rozebrać. „Oho, dobrze się zaczyna" – pomyślałem, gdy zostałem w samych bokserkach. „Trusiki toże" – usłyszałem z cudnych ust, a na ten rozkaz spuściłem majtki i zostałem w postaci, w jakiej stworzył mnie Pan Bóg. Było coraz ciekawiej. W napięciu czekałem, co stanie się dalej. A stało się to, że Rosjanka była nie tylko zjawiskowo piękna, ale miała też niesamowicie sprawne ręce. Wymasowała mi dosłownie każde włókno mięśniowe, pomijając tylko jedno miejsce, na co już – przyznaję ze wstydem – zaczynałem liczyć. Nigdy wcześniej i nigdy później nie zostałem tak gruntownie wymasowany; z trudem zwlokłem się z kozetki, a w domu dostałem stanu podgorączkowego, zadziałały toksyny zręcznymi paluszkami uwolnione z mięśni.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 28.05.2025 r.

eprasa.pl fa494b6db0

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Od przełomu wieków nie minęło więcej niż pięć lat. Karol Nawrocki ma lat dwadzieścia jeden i prowadzi zdrowy tryb życia: dużo boksu, zero snusu, koki i smażonego czerwonego mięsa. Fizycznie jest dobrze rozwinięty, a poziomem intelektualnym nie odbiega od kolegów.

Jeden z nich właśnie parkuje prawie nowym golfem na parkingu Grand Hotelu w Sopocie. Podchodzi do Nawrockiego i częstuje go mefedronem. Karol zdecydowanie odmawia, podobnie jak nie przyjmuje marihuany, kwasu ani koksu.

– A masz może gumę do żucia nosem? – pyta uprzejmie.

Kolega jest dilerem i niejedną używkę ma w ofercie, również gumę do nosa.

– Jednak wolałbym torebkę nikotynową – zmienia zdanie Nawrocki.

Koledze nie robi to różnicy. Karol wrzuca torebkę na dziąsło. Dziękuje koledze, relaksuje się przez kilka minut, a potem wraca do pracy na bramce.

• • •

Kilka dni później inny kolega odwiedza Nawrockiego na tej samej bramce.

– Kurwy – mówi, wzbudzając czujność Karola. – Kurwy nie potrzebujesz?

– Ani ja, ani żaden z gości hotelowych nie korzystamy z usług pracownic seksualnych – odpowiada Nawrocki z wyniesioną z domu uprzejmością. – Ale chętnie zjem marchewkę. Marchewki dobrze robią na piramidowy mięsień brzucha.

Kolega patrzy na bramkarza jak na Andrzeja Dudę, który nie był jeszcze wówczas debilem, lecz świeżo upieczonym doktorem nauk prawnych.

– Marchewki jedzą zające – mruczy pod nosem kolega, postanawiając, że już nigdy na trzeźwo nie zbliży się do Nawrockiego.

• • •

W tamtych latach trzeci kolega Nawrockiego zajmuje się do południa pomaganiem seniorom, a po południu jest gangsterem.

– Idziesz jutro na ustawkę? – pyta kolega.

– Ilu na ilu?

– Siedemdziesięciu na siedemdziesięciu.

– Jaki oręż?

– Jak zwykle – odpowiada kolega. – Drewno i żelazo.

W języku kibiców biorących udział w szlachetnym dawaniu sobie po mordzie „drewno" oznacza pałki bejsbolowe, a „żelazo" – łańcuchy, śruby i mutry. Nawrocki to rozumie, ponieważ prowadzi zdrowy tryb życia, je marchewki i lubi od czasu do czasu szlachetnie przypierdolić komuś w ryj.

– No to idę – cieszy się Karol i oddaje się marzeniom.

Marzy o tym, żeby niedługo wziąć torebkę nikotynową, a za dwadzieścia lat zostać prezydentem dużego kraju w środku Europy.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

JOANNA SENYSZYN oddała Małgorzacie Trzaskowskiej czerwone korale. **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** jest zazdrosna.

Wołk-Łaniewska: – Właściwie dlaczego ja nigdy nie dostałam od ciebie korali?

Joanna Senyszyn: – Dostaniesz po wyborach. Jak dobrze zagłosujesz…

– Zagłosuję, ale cieszyć się nie będę. Zwłaszcza że przeczytałam książkę kandydata. Uszami.

– Mów po ludzku: wysłuchałaś, bo jesteś fanką audiobooków, ale czy obejrzałaś fotografie – bo to zawsze nieodłączny element biografii? I trudno się dziwić, bo wracamy do komunikacji obrazkowej.

– Ja mam prozopagnozję, nie rozpoznaję twarzy, więc fotografie mnie nie kręcą…

– Żadnych twarzy? Mnie też nie?

– No nie, jakieś tam rozpoznaję, Trzaskowskiego od Nawrockiego odróżniam, ale na przykład o tym, że Russel Crowe i Kevin Spacey to dwaj różni faceci, dowiedziałam się dopiero, jak ich zobaczyłam obok siebie w jednym filmie… Wracając do „Rafała" – słuchanie mogło pogłębić złe wrażenie, albowiem czyta kumpel Rafała z podstawówki, Michał Żebrowski, i robi to z takim pedagogicznym zacięciem, jakby chodziło o podręcznik prawidłowego przechodzenia przez jezdnię dla pięciolatków. Ale w temacie magicznej mocy korali: odnoszę wrażenie, że jesteś w tej całej kampanii jak Obi-Wan Kenobi. Ten z pierwszej części, z 1977 r.

– Kojarzę ci się ze starym facetem?

– Hola, hola, to był sir Alec Guinness. I to był ten bohater „Gwiezdnych wojen", w którym się kochałam, kiedy miałam 10 lat, nie jakiś tam Luke Skywalker czy Han Solo. Co prawda potem musiałam się z tego tłumaczyć mojej przyjaciółce Beci, która tak nazywała sieć sklepów budowlanych…

– Jak niby?

– Obi-Wan Kenobi. I w końcu jej powiedziałam, żeby tak nie bluźniła, bo ja się w nim kochałam przez całe dzieciństwo. Becia na mnie popatrzyła dziwnie, a potem się okazało, że pomyliła Kenobiego z Yodą.

– To chyba trudno…

– Faktycznie, ale ona chyba nigdy „Gwiezdnych wojen" nie widziała. Ty w każdym razie nie jesteś Yodą – to był taki mały zielony stworek – tylko Obi-Wanem. Jak wtedy, kiedy powiedział szturmowcom imperium: „To nie są roboty, których szukacie". A oni pokornie powtórzyli: „To nie są roboty, których szukamy". To się działo na każdym wiecu Trzaskowskiego: ktoś z tłumu wołał „Niech moc będzie z nami". A Trzaskowski, tak na moje oko coraz bardziej wkurwiony, odpowiadał, że „pani profesor Senyszyn ma rację"…

– Na niedzielnym marszu był zadowolony, bo – w odróżnieniu od koalicjantów – porwałam zgromadzonych, wzbudziłam entuzjazm, a nawet wzruszyłam do łez.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

– Brawo. Ale tak swoją drogą: mówiłaś, że kandydujesz, bo nie masz na kogo głosować i pogląd ten podzieliło 200 tys. twoich wyborców. A tu się okazuje, że masz?

– Teraz jest całkiem inny dylemat. I wcale nie chodzi o kandydatów, ale o wybór przyszłości Polski: czy będzie demokratyczna, kolorowa, przyjazna dla kobiet, mniejszości, młodych i seniorów, czy brunatna, klerykalna, zawzięta, nietolerancyjna, seksistowska. Czy będzie silna w silnej Unii Europejskiej, czy zostanie wyprowadzona z Unii i stanie się XIX-wiecznym skansenem, w którym kobiety zostaną z powrotem zagonione do kuchni, kołyski i kruchty, społeczność LGBT+ pozbawiona praw, dzieci bite, a Polak-niekatolik dyskryminowany.

– Chyba trochę egzagerujesz. Ani Polska nie będzie kolorowa i przyjazna dla mniejszości, bo Polacy tacy nie są, ani PiS z Konfiarzami nie wyprowadzą nas z Unii, bo to potężne przedsięwzięcie prawne i organizacyjne, które znacznie lepiej zorganizowanym Brytom zajęło cztery lata. Pisiarze nie zdążą, choćby chcieli, oni są z tych, co to czego dotkną, zaraz popsują, z brukselską biurokracją nie wygrają.

– To dość smutny powód do optymizmu. A poza tym, czy byłabyś w stanie zagłosować z czystym sumieniem na kogoś, kto ma taką przeszłość jak Nawrocki, pełną szemranych znajomości, niegodnych zajęć i zachowań? Niewykluczone, że kupczyłby ułaskawieniami, skoro już obiecał Braunowi w zamian za poparcie, i byłby pierwszym w polskiej historii prezydentem, który ułaskawiłby nie tylko wszystkich swoich kumpli-kryminalistów, ale i w razie potrzeby samego siebie.

– Nie rozważałam głosowania na Nawrockiego, choć – nawiasem mówiąc – uważam, że sporo z wymierzonej przeciwko niemu narracji trąci klasycznym klasizmem. Nawrocki pochodzi z robotczego domu i wyniósł z niego właściwy dla klasy robotniczej kod kulturowy. Nie widzę nic złego w tym, że boksuje i pakuje, że ma dziary z herbami klubów piłkarskich i na studiach dorabiał jako bramkarz, a nawet że chodził na ustawki.

– Ale pomocnika sutenera – jak zapodaje Onet – chyba wolałabyś nie widzieć w fotelu prezydenta? Swoją drogą, gdyby to była nieprawda, że będąc ochroniarzem, przywoził prostytutki hotelowym gościom, podałby autorów tej sensacji do sądu w trybie wyborczym i miałby rozstrzygnięcie przed wyborami. Inna sprawa, że jego wyborcom chyba nic nie przeszkadza, bo dla nich najważniejsze, żeby Polska była katolicka.

– Oj, Joasiu, lekceważenie wyborców nie jest dobrym pomysłem dla polityka… Wyborcy pisowscy po prostu nie wierzą w te zarzuty. A ci, który nie są pisowcami, ale mimo tego zagłosują na Nawrockiego, zrobią to dlatego, że nie chcą, żeby Polska była platformiana. I ja ich trochę rozumiem – choć nie na tyle, żeby głosować razem z nimi…

– Ale, wbrew pozorom, wybór kandydata PO nie oznacza oddania całej władzy w ręce Tuska, bo koalicja 15 października jest wewnętrznie mocno podzielona i ma trudności z dogadaniem się. Jednak przede wszystkim ci, którzy się boją domknięcia układu, niech pomyślą, że jeśli po wyborach parlamentarnych do władzy wróciłby PiS z Konfederacją, jedynym wentylem bezpieczeństwa byłby prezydent Rafał Trzaskowski.

– Tak, i to jest ten argument, który mnie skłonił do zagłosowania na Trzaskowskiego – piszę o tym w tym numerze. Ale z entuzjazmem tego nie zrobię. Choć muszę przyznać, że Bążur dotrzymał słowa i oddał mi siedemnastkę.

– Gratuluję.

– Wybory czynią cuda.

– O tym się przekonamy 1 czerwca.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE

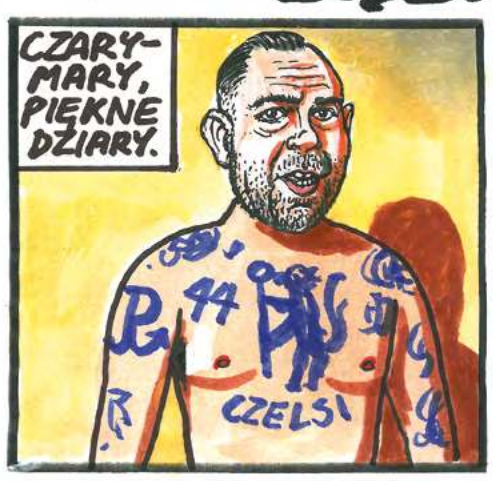

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl fa494b6db0